ZYGMUNT KRASIŃSKI

MYŚLI O SZTUCE

ZEBRAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI

Symposion XXIV. Krasiński

SYMPOSION · POD · REDAKCYĄ · LEOPOLDA · STAFFA

ZYGMUNT KRASIŃSKI

MYŚLI O SZTUCE

ZEBRAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI

LWÓW 1912
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SKA

ODBITO W DRUKARNI „PRASA“ WE LWOWIE

PRZEDMOWA

„A co się tyczy poezyi — i tu Ci wbrew zaprzeczę twojego zdania. Co ty mi chcesz stosować poezyę do ducha czasu?! Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności? Literatura romansów, dzisiejsza francuska literatura, oto mi nałożnica za pieniądze. Ale poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości, o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty, żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic".

Tak pisał w roku 1834. dwudziestodwuletni Zygmunt Krasiński w liście do przyjaciela.

Nie trzeba zresztą ścisłej daty, gdy się ma ten

list przed oczyma. Epoka wypływa z niej sama. Nie trzeba znać i adresata: to jasne, że list pisze poeta wielki do poety mniejszego rangą i do poety, który z łatwością ulega duchowi czasu, bo nie tyle w sobie czuje geniusza, ile potrzebę być poetą. Niewątpliwie natomiast, poeta ten, do którego pisze Krasiński, jest dobrym obywatelem, jest prawem dzieckiem patryotyzmu romantycznego, ofiarnego bez granic i bez zastrzeżeń. Niewątpliwie już dziś w r. 1834. bez emfazy mówi mniej więcej: „zgińcie me pieśni, — wstańcie czyny moje". Choćby sam nie był zdolny wymyślić powyższego hasła, czytał już *Dziady* i wie, że umrzeć musi Gustaw, by się narodził czyn: Konrad.

O tem wszystkiem zapewne pisze Krasińskiemu, donosi mu, że poezya musi dziś stać się czynem, że duch czasu, zrodzony ze szturmów na Wolę, wymaga od poetów nie bezinteresownego oszołomienia się pięknem, lecz służby dla bieżących spraw Polski. Z Mochnackiego wiemy, jak wyraz i pojęcie i symbol: „Wallenrod" bywał co drugiem słowem na ustach pokolenia listopadowego. A więc — kto wie? — może w tym liście do Krasińskiego padło nawet spostrzeżenie, iż poezya ma być Wallenrodem wobec społeczeństwa, przywdziewać krzyżowy habit piękna, by z tą maską pracować dla nieśmiertelnego dobra narodu. W każdym razie i „antytezie-piękna" i „syntezie-poezyi" podsunięta snać być musiała jakaś powinność doczesna, skoro w odpowiedzi uzy-

skuje Gaszyński aż taki wybuch: „alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności!!?"

Oczywiście takie pojęcia jak: „marne okoliczności" jak „nałożnica" skoro nie królowa itd. — łatwo wyprowadzić się dadzą z psychiki dwudziestu dwu lat życia i rozwoju poety. Późniejsze życie niejeden dynamitowy pogląd na świat wpuści w wodę bądź kompromisu, bądź tolerancyi, niejedna ostrość sądu złagodnieje, niejedno bożyszcze artystyczne z roku 1834. zblednie, niejeden paragraf teoryi estetycznej pójdzie w niepamięć: — to jednak, co było gruntem myślowym w przytoczonym powyżej liście do Gaszyńskiego, owa religijna cześć dla twórczości, owo wysokie wyobrażenie o zadaniach i przeznaczeniu sztuki, owa wreszcie skłonność do maksymy: l'art pour Dieu, c'est à dire: l'art pour... l'art, z której wypływa gniew, iż miałaby poezya być służebnicą jakichś obowiązków, wynikających „z czasu i przestrzeni", obowiązków doczesnych.

Estetyczny rdzeń poglądu na sztukę pozostaje w Krasińskim niemal niezmienny od roku 1834., trwa obok *Przedświtu*, trwa i później.

W roku 1837. pisze do tego samego Gaszyńskiego:

„1. Jeśli kto stosuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema."

„2. Poeta nie bierze monarchizmu, arystokracyi,

lub republikanizmu tak, jak był, lub będzie, tak, jak się zdarzył — ale tak, jak jest wiekuiście w duchu ludzkości".

Znowu w trzy lata później, w roku 1840., w liście do Juliusza Słowackiego pisze:

„Poezya, zdaniem mojem, jest to wieczne przewidzenie najwyższych form, jakie, czy na ziemi czy w niebie, przybiorą kiedyś realne życie".

Podobną definicyę wypowiada do Ary Scheffer'a. Nie trudno dostrzedz, że definicya ta jest tylko staranniejszem ściągnięciem w węzeł tych myśli, które wypowiedział w listach do Gaszyńskiego. Pion przekonania ten sam.

„Dlatego poezya jest formą najwyższą rzeczywistości świata, najwznioślejszym kształtem życia, że różni się w swych rozwiązywaniach od rozwiązywań codziennych i potocznych" — wynurza się w jednej z korespondencyj, dopowiadając ostatecznie swoją myśl wobec tych, którzy mieli jakiekolwiek wątpliwości co do jego teoryi sztuki.

Wynurzenie to brzmi prawie tak samo jak „silny, kto sam" Ibsena — i w gruncie rzeczy jest też manifestem zaszczytnej mniejszości, przeniesionym do sfery tworzenia. Taki manifest indywidualizmu artystycznego pozostaje w zgodzie z duchem epoki, z podstawą uczuciową romantyzmu. Ale nie romantyzmu polskiego.

Romantyzm polski, od *Ody do młodości* począwszy, zawsze w teoryi był sługą tego „skrawka prze-

strzeni", który się nazywał Polską i tego „łachmana czasu", który się datował kolejno rokiem 1795. i legionami. Ilekroć i sam Krasiński zmieniał pióro teoretyka na pióro twórcy — wdrażał się nieuniknienie w tę powinność, czy to gdy pisał *Irydyona*, czy gdy śpiewał *Psalmy*.

Różnica między nim a tłem pokolenia romantycznego leżała jednak w stopniu uświadomienia sobie, czem być powinna poezya narodowa, a czem narodowa polityka, czem natchnienie artysty, a czem taktyka stronnictwa.

Większość pokolenia romantyczno-emigracyjnego identyfikowała te pojęcia. Młodzieży, poetom-żołnierzom, poetom-szlachcicom ani nie przychodziło do głowy, że program ich partyjny: *Wallenrod* w chwili tworzenia był również rozwiązywaniem indywidualnem, odosobnionem, że myśli swej nie zawdzięczał Mickiewicz żadnemu zbiorowemu wypracowaniu, żadnej uchwale.

Wogóle nie pora była ówczas, w latach 1830—1840 na teoretyczne dociekania nawet wśród tych, którzy pisali i tworzyli, bo nie mogli zdobywać armat. Jedyny wśród nich człowiek, zrodzony na teoretyka estetyki — Mochnacki udowodnił biografią swą, jak dzień 29-go listopada przerwał nić filozofii sztuki w Polsce.

W innem natomiast położeniu był Zygmunt Krasiński.

Sytuacya rodowa, zajście na uniwersytecie, za-

leżność od poglądów politycznych ojca — wszystko to oddalało przyszłego autora *Nieboskiej komedyi* od atmosfery romantyzmu rewolucyjnego. „Dobra wieść“ o nowych prądach filozoficzno-poetyckich szła do jego entuzyazmu nie przez zbiorowe upojenie mniej lub więcej konspiracyjnych wieców romantycznych, jak się to działo w Wilnie, lecz przez teoretyczną i bardziej samotną uprawę lektury, nie przez ogień objawień, lecz przez logikę analizy.

A przytem romantyzm Krasińskiego zaszczepiał się zwolna na pniu wychowania i wykształcenia przysięgle klasycznego. Jenerał Krasiński nie wykazywał wobec „zarazy romantyzmu“ większej tolerancyi od Jana Śniadeckiego, a porównania jego, stosowane do prądu Byrona i Schillera odznaczały się kawalerską lapidarnością, zahaczającą o zakres medycyny wenerycznej. Mniej obozowe, ale równie nieprzejednane stanowisko zajmowało całe otoczenie, w którem rosły młodociane lata Zygmunta, a dla którego poeta nie przestawał żywić bądź żywej czci, bądź szacownego respektu. Umysł autora *Irydiona* skłonny do wszechstronnego obejmowania zagadnień, wolny od emocyonalnego biegu na oślep za popędem chwilowej skłonności, rozmiłowany do sprawiedliwego docierania ku głębi, a przytem wszystkiem instynkt tradycyonalizmu, tak wybitny w jego naturze — wszystkie te przyczyny złożyły się na okoliczność, że idący w świat romantyzmu Krasiński nie rewolucyonizował się hałaśliwie, jak jego rówieśnicy, prze-

ciwko starym wiarom estetyki, nie wojował z klasycyzmem. Już był byronistą, a jeszcze wiele w nim tkwiło z ucznia Osińskiego i słuchacza zgryźliwych uwag Kajetana Koźmiana. Hr. Henryk w *Nieboskiej Komedyi* ucieka w te same góry i nad te same przepaści, po których się błąkał już Manfred, ale gdy dochodzi do wielkiej sceny spotkania się hr. Henryka z Pankracym, przeciwnicy mają względem siebie tyle wzorowej wzniosłości, ile jej obaj wyczytali w Rasynie. Ale też i obaj mają tę doskonałą jasność i jednoznaczność swojej charakterystyki, w której celowały figury klasyczne.

Ten sam klasycyzm nałożył też pewną warstwę zabarwienia na teoretyczne poglądy Krasińskiego w sprawie poezyi i sztuki wogóle. Owo obruszenie się na Gaszyńskiego w liście, od którego rozpoczęliśmy szkic niniejszy, ów piorun na tych, którzy chcą z poezyi uczynić nałożnicę stronnictw, polityki, „ducha czasu“ etc. — to nietylko anarchizm romantyzmu, jak dzisiaj jednostronnie o to pomawiają historycy idej epokę Krasińskiego; piorun ów to i zelektryzowana Magna Charta tej Autonomii artystycznej, którą sztuce nadawali klasycy od Boileau począwszy, to ten parnasizm, który w otoczeniu oświeconych, spokojnych i godnych szacunku mężów z otoczenia Wincentego Krasińskiego żył uparcie i niezmiennie od epoki Stanisławowskiej.

Trzeźwy zazwyczaj, trzeźwy nawet w szaleństwach, zmysł logiki Krasińskiego wybrał z odchodzącej

w niepamięć teoryi klasycznej to, co było najżywotniejsze dla przejściowego stadyum jego wyobrażeń artystycznych. Gdyby logika Krasińskiego była lekkomyślna, wówczas odrzucił by ryczałtem wszystko, co apostołowali klasycy, a potem powtarzał by ich dogmaty z dobrą wiarą, że to wynalazek nowych prądów. Krasiński wyróżnia się od innych świetnych artystów tem, że myśl jego jest nieubłaganie jasna; woli mękę dociekania, niż radosną sumaryczność frazesu. Ta właściwość jego inteligencyi nie pozwala mu iść drogą uproszczonego postanowienia jego rówieśników:

— Sztuką prawdziwą jest ta, którą tworzą młodzi, sztuką fałszywą ta, którą tworzą starzy.

Taki personalny pogląd na istotę sztuki nie mógł znaleźć oddźwięku w mocnem i rzetelnem myśleniu autora *Nieboskiej*. W rozpatrywaniu zagadnienia: czem jest sztuka? — nie ustawał, dopokąd nie dotarł — w przekonaniu własnem — do podstawy zagadnienia. Nie sympatye lub solidarność partyjno-estetyczna kierowała też jego poglądami, lecz miara filozoficzna. Dzięki temu składowi intelektualnemu, on też, nie kto inny — on i niestety nikt więcej był teoretykiem polskiej poezyi w dobie emigracyjnej.

*
*   *

Próbowaliśmy tedy nawiązać nić podobieństwa między teoryą estetyczną Krasińską, a teoryami klasyków. Nitką ową był parnasizm, u klasyków do-

gmatyczny, u Krasińskiego więcej może instynktowny. Na pierwszy rzut oka odróżnić jednak można już i w epoce 1834—1840 roku głębokie różnice między wychowańcami a uczniem.

Klasycy, a raczej pseudo-klasycy czy to francuscy, czy polscy stanisławowscy kochali dzieła sztuki, jak się kocha świetne cacka. Pojęcie: *plaisir* wmurowane było, jak akt fundacyjny, w kamień węgielny klasycznej poezyi. Za Ludwika XIV-go poeta był wyższym rangą kolegą tego ogrodnika, który pięknie przystrzygał szpalery w Wersalu, lub mistrza uciech, który organizował urocze wycieczki do lasków. Sztuka miała obowiązek wzbudzać podziw, nie tykać sumienia. Stąd jej dobór tematów, możliwie oddalonych dystansem czasu i przestrzeni od bieżącego społeczeństwa i bieżącego życia. Sztuka klasyków była wyższem stopniem zabawy.

Wystarczy przeczytać podane wyżej listy do Gaszyńskiego i Słowackiego, by się upewnić, iż w Krasińskim sztuka przeszła z kategoryi zabawy do kategoryi sakramentu. Z określeń poety wynika jasno, iż od sztuki wymaga, by ona była zastępstwem boskości na ziemi. Są dwa listy z roku 1840 i 1841 pisane przezeń do Słowackiego, w których rozpoczyna od poglądu na Szekspira, a kończy na zupełnem wyjaśnieniu, czego od poezyi wymaga i czego się po niej spodziewa.

„Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również i ten zły, czyli

niedomiar dobrego, brak wielkości, brak pojęcia na czem powszechność, ogół, harmonia wszechżycia zależy — piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne narodowe wyciska na czole Szekspira; piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności.

„Nieporównany co do szczegółów, co do ich doskonałego wyrobienia, co do analizy życia — w tem nikt go nie prześcignie. Lecz właśnie dla tego, że nadto wyłączny i jednostronny, zanadto tylko w same pojedynkowe (odosobnione, szczegółowe — *przyp. ref.*) rzeczy i części tylko zapatrzony: zewnętrzny mechanizm życia rusza się w nim, ale głęboki, wieczny jego organizm — gdzie? Gdzie wiara życia? gdzie to, co wszystko rozsypane skupia, wszystko rozmaite — jednoczy, wszystko sprzeczne — godzi? Wielki to mistrz na dysonanse — dysonanse są połową życia: lecz gdzie przejście w harmonię? w ogół? w nieskończoną prawdę i piękność? w tę drugą wyższą zarazem połowę i c a ł o ś ć?"

W drugim następnie liście dopowiada się:

„Szekspira świat był równym jednej tylko chwili teraźniejszej świata. Ale chwila nie jest ani wiecznością, to jest pomysłem Boga o świecie, ani nie jest przyszłością, to jest dopełnieniem (spełnieniem, urzeczywistnieniem — *przyp. ref.*) ideału. Chwila nie jest nawet wyjątkiem w obecnej teraźniejszości, czyli pięknością, czyli w kształcie błyskawic ukazaniem się tego pomysłu boskiego śród wszystkich sprzecznych niedopełnień, szerokiem błotem leżą-

cym na tego planety powierzchni. Zatem świat Szekspira choć doskonale dotykalny, przedoczny — nie jest światem prawdziwym, bo nie jest całością świata.

„Tam tylko całość, gdzie wszelkie zło i brud wszelki zmazan i zniesion tem właśnie, że tylko za chwilę znikomą uważany, nie dorywa się znaczenia absolutnego, powszechnego, gdzie pozostaje na podrzędnem cząsteczki stanowisku; cząsteczki, mającej się kiedyś rozwiać bez śladu; cząsteczki, której nie było w łonie boskiem, skąd świat wyszedł — i której nie będzie na świecie, gdy świat się zrówna z duchem boskim; cząsteczki zatem li tylko w teraźniejszości przepływnej; znikomej, wietrznej i pustej“.

Aż nadto wyraźne jest tu więc stanowisko Krasińskiego co do zadań i przeznaczenia poezyi; wybija się młodzieńcza jeszcze pogarda dla realizmu, o który pomawia Szekspira, przeciwstawiając mu realizm, rzeczywistość inną: rzeczywistość wieczności, boskości, absolutu.

W tej epoce 1840—1841 roku, kiedy poeta nie dochodzi jeszcze do trzydziestu lat życia, i kiedy potrzeby wyrobienia sobie własnej filozofii piękna pełne są wrodzonych błyskawic geniuszu, ale i burzliwego nieco poglądu na świat, przejściowy smak jego nie może się pogodzić nie tylko z Szekspirem, za mało kapłańskim, ale również i Goethe'm. Można przypuścić, że protest przeciwko Goethe'mu nie od-

był się w Krasińskim bez wewnętrznej walki. Autor nie tyle *Fausta*, ile *Ifigenii* lub *Tassa* nie mógł przecie nie podpadać pod postulat ponadziemskiego parnasizmu. Słowo Goethego więcej aniżeli czyjekolwiek inne słowo odwracało się przecie od służebnictwa partyom, doczesnościom, interesom „czasu i przestrzeni". Jeżeli tedy w listach Krasińskiego znajdziemy niechęć ku wielkiemu olimpijczykowi Niemiec, to bez mozołu odnajdziemy w niej echa niechęci „Młodych Niemiec" ku rywalowi Schillera.

Będzie to również i trybut, spłacony przez Krasińskiego okresowi Hegla. W jednym z licznych listów do Konstantego Gaszyńskiego poucza dzielnego przyjaciela: „pamiętaj, że poezya jest syntezą". Zacytowane przed chwilą opinie o Szekspirze wyjaśniają dostatecznie, co rozumie podówczas poeta pod pojęciem syntezy. Heglowski łańcuch tezy-antytezy-syntezy w estetyce Krasińskiego najprawdopodobniej układa się w ten sposób: tezą poezyi jest czysty duch boży, duch wzniosłości, niejako natchnienie in sich, ów „pomysł Boga", którego nie umie zrealizować rzeczywistość doczesna; antytezą będzie literatura realistyczna, „niewolnica rzeczywistości", mniej więcej Szekspir, jak chce Krasiński — wreszcie syntezą poezya prawdziwa, poezya podźwigająca rzeczywistość ku jej idealnym praźródłom i przeznaczeniu, poezya przybliżająca niejako w regionie piękna Królestwo Boże na ziemi; łącząca, zgodnie

z wymogami syntezy świat idealny tezy ze światem realnym antytezy.

Potrzeba afirmacyi kazała Krasińskiemu taką poezyę syntetyczną widzieć w określonym artyście· Wybór padł na Schiller'a. I tu znów mamy, jako dokument list do Gaszyńskiego z roku 1837, gdzie jeszcze raz napotykamy gorycz na Szekspira i jako przykład przeciwstawny — Schiller:

„Szekspir, jak wszyscy Anglicy jest głęboko ludzkim, ziemskim: pojmuje doskonale nędzę i marność, ale w nim niema nadziei, niema powiązania ziemi z niebem.

„Szyller inaczej stąpa: pół-boga w nim widzisz i słyszysz zawsze; młodość bez granic hurmem ciśnie się zewsząd. Wiosna wszędy rozkwita i przed grobem w sercach bohaterów i po śmierci jeszcze na ich trumnach lężą kwiaty i gwiazdy. Wiara w coś wyższego, w coś dobrego i szlachetnego wieje zewsząd z jego piersi. Jak Apollo Belwederski z podniesionem on naprzód i niewstrzymanem idzie czołem.

„W Szekspirze prawda codzienna — w Szyllerze prawda wiekuista".

Być może, iż dla tego, że to tylko list, nie rozprawa, nie waha się Krasiński dojść w dalszym ciągu do takiego nawet zestawienia:

„Szekspir ma coś podobnego do tych starych dyplomatów, którzy ci opowiadają, że największe świata rewolucye i wojny wypadły z jakiejś drobnej

intrygi. Intryga była, nie przeczę, ale było coś więcej jeszcze, bo palec Boży. Tu się kończy Szekspir, a zaczyna się Schiller".

Dziś, w wieku XX-ym, kiedy korekturze czasów więcej się jednak oparł Szekspir, niż Schiller, opinie i zestawienia Krasińskiego nie mogą nie wzbudzać zadziwienia. Ryzykownem zwłaszcza wydaje się przekonanie, że w Szekspira utworach nie czuć „palca Bożego", czyli owego fatalizmu sumienia, który ludzi pcha do takiego, a nie innego rozwiązania losów.

Cała ta stronniczość sądów Krasińskiego da się wytłómaczyć kultem dla myśli niemieckiej. Jak swojego czasu Byron rugował w nim klasyków, tak potem rychło filozofia Hegla wyrugowała Byrona. To też okres byronizmu nie wiele lat zajął w jego umysłowości. W roku 1834, ma więc Krasiński dopiero lat dwadzieścia dwa, gdy pisze już do przyjaciela, Anglika Reeve'a:

„Kto poprzestanie na naśladowaniu Byrona, ten pozostanie miernotą. A powiedzmy z ręką na sercu cośmy dotychczas robili? Naśladowaliśmy Byrona".

I tuż obok daje swoją opinię o Byronie:

„Jest to upiór długiej i burzliwej nocy, zastraszający, dopóki trwają ciemności, — zapomniany, gdy wzejdzie zorza. A tylko w promieniach słońca można szukać i znajdywać".

Tą zorzą była dlań filozofia niemiecka. W tym samym 1834 roku pisze już do Reeve'a zachwyty

nad Jean Paul'em. Czar niemiecki nie odchodzi odeń tak szybko, jak odszedł czar Byrona. W roku 1836, a więc w dwa lata później, nie przestaje się unosić nad Jean Paul'em i nad Niemcami wogóle:

„W tych ostatnich dniach wziąłem się trochę do literatury niemieckiej i przysięgam, że jest to pierwsza w Europie, pod wszystkimi względami. Jean Paul Richter jest to pisarz, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Francuzom się nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż zdaje się czasem, że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów. Jego fantazya umie tworzyć, jakby była Bogiem. Musisz się upić, musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się lękać lub zachwycać, kiedy cię on porwie za sobą i nieskończoność universum wskazując, raz cię stawi w godzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po ruinach wszystkich światów; to naprzemian rzeźwi cię nadzieją itd. itd." Bardzo dużo jeszcze.

Dopiero pod koniec hymnu, instynkt trzeźwości, zmysł rozwagi, zanadto zdecydowany w intelekcie Krasińskiego, dochodzi do głosu w następującem zastrzeżeniu:

„Ale trzeba czytać uważnie i nie zrażać się pewnemi dziwacznościami".

Filozofią romantyczną Niemiec zajmował się Krasiński najprawdopodobniej już w epoce swej warszawskiej, przedpowstaniowej. Z artykułów Mochna-

ckiego i Grabowskiego, z życiorysu Mickiewicza wiemy, że Schelling zwłaszcza wdzierał się wówczas energicznie w umysłowość pokolenia. Można jednak przypuścić, że stadyum przejęcia się myślicielami Niemiec naszło na Krasińskiego po odrze byronizmu i obok Schellinga upajać się zaczął Heglem oraz Novalisem.

Myśl niemiecka narzuciła estetycznym poglądom Krasińskiego tę iście germańską teoretyczność apriorystyczną, skłonność do wymustrowanego szeregowania idei. W epoce tej Krasiński bierze książkę do ręki z góry powziętem postanowieniem: „będzie mi się podobała pod warunkiem, jeśli odpowie następującym postulatom". I tu myśl jego wyszczególnia te wszystkie kanony, które odrzucały jego smak od Szekspira.

Apriorystyczność taka nie była dość zgodna z nurtem jego usposobienia artystycznego. Jak mało kto inny w jego pokoleniu poetyckiem umiał i lubił iść za popędem bezinteresownej rozkoszy estetycznej. Do dziś dnia krytyka polska nie zdobyła się na egzegezę *Balladyny* świetniejszą, a nawet równie choćby świetną od tej, którą dał autor *Irydyona*. Wyrywał on ze swego entuzyazmu iście genialne spostrzeżenia i oświetlenia, nie bacząc, że *Balladyna* właśnie najmniej odpowiada jego hegeljańskim uwarunkowaniom.

* * *

Śledząc w biegu biograficznym wynurzenia estetyczne Krasińskiego, zauważyć możemy, że kult dla poezyi, dla literatury i wyobraźni niemieckiej przeżył w nim znacznie entuzyazmy dla ścisłej myśli niemieckiej, dla filozofii i myślicielstwa wogóle. Jeszcze trwają zapały uczuć dla Schillera i Jean Paul'a, gdy w laboratoryum teoryj Krasińskiego zaczyna się zwolna odbywać rewizya ideałów filozoficznych.

W tym samym okresie, kiedy poezya była dlań jeszcze w całej pełni przewidzeniem rzeczy przyszłych, kiedy jego teorye artystyczne pozostawały w harmonii z Heglem, w roku 1839 odpowiada przyjacielowi swemu Jaroszyńskiemu na jego list j. n.:

„Hegel powiadasz stał się gwiazdą twoją popularną, ruszoną tylko magnetycznie w stronę katolicyzmu, zresztą nieubłaganie zatknioną na niebie?“

Poczem po długich określeniach czem jest filozofia Hegla, mówi o tem, czem b y ł a dlań filozofia niemiecka w historyi jego osobistego rozwoju.

„... nigdy nie mogłem inaczej ukoić rozpaczy, pochodzącej z tego drugiego stanu duszy *), jak czytaniem Hegla lub Novalisa, ile razy chciało mi się skonać z gwałtownych wzruszeń, brałem do rąk filozofię niemiecką i z niej piłem jakby opium ulgi, jakby chwilowe lekkie zapomnienie“.

Czytałem, brałem, piłem z niej... Respektujące

---

*) Stan zapadnięcia w rzeczy ziemskie, doczesne.

perfectum! Gdy mowa w czasie przeszłym, dowód, że dzisiaj już nie biorę do rąk Novalisa, gdy „mi się chce skonać“ z rozpaczy o metafizycznem tle, nie piję zeń ulgi — bo w ulgę tę nie wierzę. Zbladła widocznie nawet i gwiazda „samego Hegla“.

Istotnie w dalszym ciągu listu przestrzega Jaroszyńskiego przed zbyt wielkim kredytem dla myśli niemieckiej:

„Nie miej ją za jedyną prawdę. Ona jest prawdą, ale siostrą wielu innych istniejących w universum. A dopiero tych wszystkich prawd prawda jest tem, co zowią życie. Jest tem, od czego ród swój duch nasz wiedzie i czego cząstką duch nasz jest“.

List ten ukazuje nam tedy Krasińskiego w heraklesowej sytuacyi rozdroża. Jego estetyka nie przestaje tkwić w wierności Heglowi i Niemcom wogóle; Szekspir podówczas jeszcze mu nie dogadza, bo nie jest w dostatecznym stopniu Niemcem-romantykiem — ale równocześnie przed umysłem poety wynurza się już widomy szlak zaprzeczenia podstawom teoryopoznawczym myślicielstwa niemieckiego. Skąd powstało w Krasińskim to rozdwojenie?

Rzecz wymaga omówienia.

Zależność Krasińskiego od romantycznej filozofii niemieckiej nie trwała długo.

Ulegał jej, pociągała go wyrazem epoki, która nie mogła i autorowi *Irydiona* nie być drogą, ale bardzo rychło umysł jego zajął wobec niej stanowisko krytyczne.

Dwudziestotrzechletni młodzieniec, z natury wieku przywykły do krańcowych objawów: bałwochwalstwa lub przeczenia absolutnego, Krasiński w jednym z listów do Reeve'a zdobywa się na umiarkowanie dojrzałe w sądzie o filozofii Herdera:

„Czytałem w tych dniach Herdera wzniosłego w swojej powadze, przecinającego jak mieczem noce naszego czasu. Jest to sędzia nizkości i zbrodni, niekiedy prorok, zawsze nowy i majestatyczny, zawsze ponad wszystkiem; — w głębi materyalista, zaczynający od materyi i budujący na niej wszystkie konsekwencye duchowe; człowiek, który ma w sobie coś z Pytagorasa, trochę z Arystotelesa, nic z Platona; człowiek stworzony do rytmu i liczby; człowiek odczuwający świątynię egipską, fatum greckie, ale nienawidzący mroku katedr gotyckich".

Henryk Reeve wiedział, że zastrzeżenie ostatnie jest uwagą, która w usposobieniu Krasińskiego przekreśla poniekąd wszystkie poprzednie pochwały złożone Herderowi.

Należy bowiem uprzytomnić sobie epokę. Katedra gotycka, gotyk, gotycyzm w okresie lat 1820—1835 i dalszych były to pojęcia dochodzące do symbolu i hasła. Gotyk! Z tem słowem, z tem wyobrażeniem łączyła się dla ówczesnego pokolenia wizya „wieków romantycznych", rycerskich i mistycznych; tych wieków, które generacya poszyllerowska brała naiwnie za swój prototyp. Przypomnijmy sobie owe święte namaszczenie, z jakiem Stendhal pisze o trubadu-

rach i sądach miłosnych — jak on w imieniu rówieśnych wierzy w każdą legendę średniowiecza! Otóż gotyk — strzelista linia architektury, anty-racyonalna dekoratywność, najświetniejszy pomnik średniowiecznej twórczości był streszczeniem i w razie potrzeby oczywiście „syntezą“ — tamtych czasów, o których się wspomniało ze wzruszeniem.

Dla umysłów z urodzenia polemicznych, pojęcie gotyku miało jeszcze poboczne, ale sympatyczne znaczenie. Nie zapominajmy o nienawiści, jaką epoka romantyczna żywiła do wieku Oświecenia, a zwłaszcza do Encyklopedystów francuskich. Właśnie zaś we Francyi, w wytwornym i sceptycznym czasie Oświecenia ludzie pióra i estetycy wolno-praktykujący doszli do najgłębszej drwiny nad tem właśnie pojęciem gotyku. *Gotique* w ustach ówczesnego człowieka znaczyło nie tylko „gotycki“, ale i „barbarzyński“. Każdy źle wychowany człowiek był *gotique*. Każda pretensyonalna tragedya miała technikę *gotique*. Szekspir był *gotique* i Rousseau *gotique*. — Co zadziorniejszy romantyk na złość więc nieboszczykom encyklopedystom wbijał w siebie nabożeństwo do gotyku.

Krasiński uczyć się zaczął romantyzmu od Byrona, ale nauczył się dopiero od Niemców. Z dobrodziejstwem inwentarza przejął też od nich podwójny kult dla ukochanego symbolu. Dla Niemca „gotyk“ miał barwę nie tylko kulturalnego, ale i patryotycznego sztandaru. Gotyk to największe świadectwo

twórczości germańskiej. Dość pustawe płaskowzgórze rozpostarło się w historyi ducha niemieckiego między Goethe-Berg, a szczytem gotyku. Romantycy niemieccy wstydzili się potrochu swojego literackiego wieku XVII-tego i XVI-ego, tem też większe w hymnach nakładali korony na wieżyce średniowiecznego gotycyzmu. Co mogli ku jego wywyższeniu wymyślić — to wymyślili. Oczywiście architektura gotycka w lot stała się „momentem filozoficznym", syntezą, podczas gdy antytezą były sagi, a tezą dziewiczo-boskie lasy Teutonów, jodłami strzeliste, jak przeczuciem kościołów.

Reeve po otrzymaniu więc listu od Krasińskiego wiedział, iż Herder jest wielkim winowajcą, skoro „nie rozumie katedry gotyckiej".

W roku 1835, tj. wówczas, gdy Krasiński pisał ów list do Reeve'a, pretensye swe do Herdera z powodu katedry gotyckiej ograniczał może li tylko do tych motywów, któreśmy kolejno wyłuszczyli powyżej. Gdyby ów list pisany był o dwa, o trzy lata później — wszystkie one zmalałyby już, a wysunąłby się natomiast motyw nowy. W latach następnych katedra gotycka przestałaby może w takiej sile być hasłem romantycznem, natomiast urosłoby jej znaczenie religijne. Akcent pretensyi przeniósłby się z przymiotnika („gotycka") na rzeczownik („katedra"), na pojęcie kościoła, świątyni.

Ale wówczas też — winę swoją wobec późniejszego autora *Psalmów* podzieliłby już Herder ze

wszystkimi innymi filozofami romantyzmu niemieckiego.

Już w rok później (w 1836) pisze do Gaszyńskiego: „przekleństwo tym Niemcom, panteistom, filozofom". Przekleństwo tedy nie tylko Herderowi, ale i Schleglom, Szellingowi, Feuerbachowi — kto wie: może nawet i samemu Heglowi.

„Oni chcą, by materya i duch jedno były, by zewnątrz świata, by po za naturą nic już nie było".

W tych słowach streścił się i umiejscowił punkt odwrotu Krasińskiego od filozofii niemieckiej. Szedł z nią razem dopóki nie dotarł do swego instynktu duchowego. Instynktem tym było w nim katolickie przyznanie à priori niewzruszalności dogmatów. „Oni chcą, by materya i duch jedno były" — a więc ci na protestanckiej swobodzie wolnego analizowania podstaw religijnych wychowani filozofowie pragną niczego innego, jak tylko zaprzeczenia tego, co jest fundamentem filozofii katolickiej: dualizmu ducha i materyi. Dogmatyczną prawdą katolicyzmu jest, że duch a materya to nie jedno. Ten moment metafizyki romantyków-filozofów stał się Rubikonem dla umysłowości Krasińskiego. Nie powtórzył gestu Juliusza rzymskiego. Katolicyzm poety nigdy może nie zaznał surowszej próby.

Od tej chwili rozpoczyna się coraz głębszy jego krytycyzm wobec myślicielstwa niemieckiego. Gdy mu w r. 1839 donosi Jaroszyński, iż Hegel stał się jego gwiazdą przewodnią, Krasiński odwodzi go od

niewolnictwa wobec Niemców-filozofów, ale odwodzi oględnie. Nie chce może płoszyć entuzyazmu zelanta, albo wie z góry, że nie owocna to rzecz w tem pokoleniu czynić zastrzeżenia wobec „Napoleona myśli“. Pisze więc pojednawczo: „nie miej ją za j e d y n ą prawdę“. Jaroszyński obstaje zapewne przy swej gwieździe przewodniej, bo w ślad za tem otrzymuje od Krasińskiego list wtóry, w którym już sumienie ex-wyznawcy Hegla każe mu wyłuszczyć jasno, co ma do zarzucenia mistrzowi i całej plejadzie filozofów innych.

„...panteizm jawny, czy ukryty, czy surowy jak u Spinozy, czy przerobiony, lamowany złotem, jak u Schellinga i Hegla — jest tem właśnie, co oznacza, że duch wyłączny epoki, zaczętej przez reformę Lutra, a we wszystkiem przeciwny feudalności, czyli potędze indywidyum, coraz bardziej potrzebuje wszystko na wzór siebie ułożyć: i świat i wszechświat pojąć na wzór siebie samego.

„Cała starożytność i wieki średnie, myślę, że to czas indywidualności człowieka, czyli tej cząstki ducha, która siebie za jedność odgraniczoną, pewną, silną, pojedynczą, jeśli chcesz — egoistyczną pojmuje. Zatem wszędzie masz w niebie Bogów pojedynczych, lub Boga osobistego; wszędzie patrycyat lub jedynowładztwo; nie słychać o masach, ale są bohatery. Historya się pisze imionami wielkich ludzi; posągi ich, każden na osobnej postawie, stoją widne, stoją w przestrzeniach, jak słupy tej drogi bez końca“.

Luter, zdaniem poety, otworzył wrota nowej epoce. Nie indywidualizm staje się jej znakiem, lecz mnogość, współudział rzesz, myśl powszechna, wysiłek i inicyatywa zbiorowa.

„Teraz ozwała się inna cząstka ducha; ta, która siebie przyjmuje, jako związaną z drugiemi, jako należącą do drugich, nie „ja", ale „wszystko". Zaraz więc i Boga osobistego ona rozpuściła w oceanie ogromnym; zaraz patrycyat i kształt z góry władnący rozwiodła w tłumach; zaraz indywidualności duszy zaprzeczyła — i jednej tylko ludzkości nieśmiertelność przyznała.

„Na swój obraz wszechświat urządziła: wszystko pojęła jako zlewek wielu, a nie jako jednego dzieło! I tak ślepy Homer został trzystu czy nie wiem ilu Rapsodami. Rzymu historya poematem przez masy wymarzonym. Chrystus — figurą, do której utworzenia przyłożyły się ludy i wieki. Przypomina mi to nowożytne stowarzyszenia: drogi żelazne lub gmachy w Londynie z tysiąców sakiewek połączonych razem zbudowane: tak i Chrystus z tysiąców marzeń, stowarzyszonych koniecznością epoki, powstał i stoi!?"

Uczyniwszy tę spowiedź hegeliańskiego odszczepieńcy, zapragnął Krasiński w tym samym liście zadać ostateczny cios „panteistom-filozofom". Więc wyłuszczywszy obszernie do jakich konsekwencyj doszła filozofia niemiecka, konkluduje:

„...Filozofia niemiecka, taka ogromna, taka pełna wzniosłej pogardy ku nędznej filozofii Francuzów

XVIII-ego wieku, — po siedmdziesięciu latach pracy tytańskiej doszła nareszcie, zupełnie inną drogą, bo drogą idealizmu, do tego samego rezultatu, co materyalizm francuski".

Pojmujemy doskonale, że był to zaiste sztych mizericordią! W epoce romantycznej powiedzieć romantykowi: „jesteś jako Diderot"! — to znaczyło zelżyć go.

Listy do Jaroszyńskiego, dlatego nam w tem studyum tyle miejsca zajęły, że one są klasycznym świadkiem przeobrażenia filozoficznego w Krasińskim. Z tych listów wiemy, co nazywał on panteizmem u filozofów romantycznych; wiemy, że słowo to było w ustach naszego poety synonimem pojęcia: monizm spirytualistyczny; wiemy, że o istotę tego monizmu rozchodzi się z dawnymi mistrzami; staje przed nami jasne oblicze konserwatysty i oblicze nieprzejednanego indywidualisty. Krasiński bystrem spojrzeniem dojrzał, iż ów „panteizm", z filozofii romantycznej zrodzony, owo uzależnianie zjawisk, ludzi i geniuszu od nie artykułowanych warunków czasu i środowiska (Homer, „Chrystus" Straussa) — toć przecie przyjazny pomost, rzucany jakiejś nowej filozofii, która będzie z romantyzmem walczyła. Krasiński nie wie jeszcze, że ta nowa filozofia, która przejdzie po pomoście Szellinga — to Auguste Comte i pozytywizm. Nie może przeczuć ich nazwy, ale przeczuwa nieubłaganą konsekwencyę. Dlatego to właśnie zdefiniowanie czasów i ducha czasu po-Lu-

terskiego, (jak chce) — przynosi niezaprzeczony zaszczyt zmysłowi krytycznemu poety.

Duchem rodczym romantyzmu, wyniesionym z wielkiej rewolucyi — był kult dla indywidualizmu. Myślicielstwo niemieckie — zdaniem Krasińskiego — siłą tego ducha ukuło broń, która mu ma zadać śmierć. W pracy romantycznej widzi więc sprzeczność z istotą romantyzmu.

W związku z tym ostatnim punktem protestu swego powstaje w Krasińskim nowa przepaść, oddzielająca go od dawnych mistrzów — Niemców. Jeżeli filozofia niemiecka w konsekwencyi swej stała się przedpozytywną opinią, że nawet geniusz, nawet świętość są tylko wynikiem panteistycznej pracy wszystkich sił materyi — to jakąż rolę przypisuje artyście taki pogląd na świat?

*
* *

Jeżeli duch i materya to jedno, wówczas i natchnienie, twórczość, jednością jest z zewnętrznym światem materyalnym. Co więcej: natchnienie, twórczość to niewolniczy wypływ zewnętrznego świata. Tak bezpośrednio wkrótce po Szellingu wywiódł to przecie i do systematu doprowadził Hipolit Taine, dochodząc drogą monizmu materyalistycznego do tych samych wniosków, które wyraziły się w zapewnieniu hinduskiego medytatora: „jeżeli podniosę na włos w górę ducha mego, to na taką samą wyso-

kość podnosi się wraz ze mną i wszechświat cały". Wystarczy w formule tego tajemnego związku odwrócić inicyatywę, przenieść ją na wszechświat, tj. na objekt zewnętrzny i staniemy oko w oko z teoryą pozytywistyczną.

Jeśli sobie uprzytomnimy, jaką górną, sakramentalną i ponadsocyalną rolę dawał poezyi Krasiński, to zrozumiemy, iż nie mogło być zgody między jego estetyką a monizmem filozofów niemieckich.

Dla Krasińskiego cały urok i cała wartość poezyi polegały na tem, że inspiracya artysty wymyka się z pod praw trzeciego wymiaru, że nie sposób jej wymierzyć, że istota jej jest i powinna być niezbadana.

„Dopóki ducha, dopóty poezyi, bo poezya jest formą konieczną ducha. Duch odbija się sam w sobie pryzmą poezyi" — wypowiada to zdanie Krasiński i wie, że będzie zrozumiany co miał na myśli, mówiąc „duch"; wie, że *duch* w jego pojęciu, to właśnie owa istność nie skojarzona niczem ze światem doświadczalnym, to właśnie tajemnica, która w poezyi, w sztuce ma swego artystycznego namiestnika.

Wraz z tem pojęciem monarchicznego znaczenia poezyi i sztuki stawia on wysoko i znaczenie artysty. Wiemy już, jak nieustępliwe było jego przekonanie o sposobie „rozwiązywania" zagadnień ziemskich, dokonywanym przez poezyę i sztukę, jak wysokie wyznaczał on miejsce sztuce dlatego, że sztuka,

poezya, o ile chcą być prawdziwą sztuką i prawdziwą poezyą, nie podążają nigdy za szlakiem zapatrywań publicysty, socyologa, ekonomisty lub polityka, lecz wybierają punkt widzenia, umieszczony p o n a d tymi wszystkimi szlakami.

W jednym z pierwszych, jakie znamy, listów do Gaszyńskiego jeszcze bardziej absolutnie formułuje tę wyłączność artysty, tę nie tylko niezależność, ale już wprost wszechwładzę:

„W chwili tworzenia powinieneś być przed sobą samym jedynie sobą zajętym; winieneś być sam w sobie tym, który jest dla tego, że jest w tej chwili. Może się niejasno tłómaczę, ale świat twój powinien być w takim stosunku do ciebie, w jakim świat boski jest do Boga: to jest, świata być nie powinno, tylko ty jesteś, ty zawsze i zawsze ty! A z ciebie wszystko wypływa: i Mickiewicz i Dante i księżyc i historya; to są dzieci płody twoje".

Od chwili, gdy w ręce artysty włożył Krasiński taki absolutyzm, musiałby nie być z instynktu konserwatystą, gdyby duchowi artysty nie kazał zaprzysiądz na *magna charta* jakichś wewnętrznych obowiązków. Jasny umysł naszego poety zdawał sobie sprawę, że jedynowładca może być równie Napoleonem poezyi jak i poezyi tej Kaligulą. Dlatego też estetyka Krasińskiego z taką mocą, z takim naciskiem stawia przed poezyą i poetą powinność nieustannej podniosłości, powinność niejakiej rywalizacyi z religią. „Tak, pełno jest smutku na tej zie-

mi, — poucza Słowackiego — ale powołaniem jest rozedrzeć ów kolor czarny i za nim posąg Boga ukazać. Ukazać, jeśli już stoi, albo wykuć go przeczuciem i wolą, jeśli go dotąd niema".

Gaszyński donosi mu, iż poznał Heinego. Donosi mu w liście o jakiemś eleganckiem powiedzeniu Heinego, które z ust jego usłyszał. Krasińskiego niepokoi ta nowa znajomość, jaką zawarł jego przyjaciel; pospiesza wypowiedzieć mu szereg zdań o poecie niemieckim.

„Henryk Heine jestto wyraz zgrzybiałej filozofii, wpadającej nazad w dzieciństwo, wracającej do materyalizmu i lekkomyślności".

Ukazuje przed Gaszyńskim masoński znak umowy romantycznej: Heine to encyklopedysta!

„Heine i cała jego szkoła — rozwija dalej swoją opinię Krasiński — chcąc koniecznie coś nowego utworzyć, nie pomiarkowali, że do bardzo starych zasad się cofają, że przedrewolucyjny materyalizm panów dworskich, przebrawszy go tylko w mieszczańskie szaty, napowrót na nogi stawiają".

I w dalszym ciągu pada jedna za drugą strzała w kierunku sceptycznego pieśniarza, którego właśnie za markizowski, przedrewolucyjny, słowem znienawidzony sceptycyzm znieść nie może:

„Ten człowiek wiele śniadań i obiadów uprzyjemnia przytomnością (obecnością *przyp. ref.*) swoją, spodoba się wielu ludziom, wytknie wiele wad, spostrzeżeń trafnych tysiąc na godzinę wysypie z rę-

kawa, ale jego pamięć nie długo potrwa" — konkluduje nie zupełnie proroczo.

Ten człowiek „wiary żadnej nie ma" — wypowiada nareszcie to słowo, które stoi jeżem między Krasińskim a Heinem. Wiary żadnej. Ani religijnej, ani filozoficznej, ani moralnej. Krasiński maluje tedy portret Heinego niemal tą samą barwą, której użył i zgryźliwy myśliciel do ocenienia autora *Romanzera:*

— Jüdische Schamlosigkeit.

Nie ma żadnej wiary.

Jak to zazwyczaj bywa, że natura ludzka nie w tem się uwydatnia, czego chce, tak i usposobienie estetyczne Krasińskiego odbiło się najmocniej nie w pozytywnych teoryach, lecz w tem negatywnem: „nie chcę Heinego dla poezyi"!

Dwa zasadnicze są typy artystów w stosunku do świata idei, przez nich głoszonego. Jedni surowi Dantejscy, Miltonowscy z twórczości swej układają ołtarz dla słońca swojej prawdy. Gdy się weźmie w całości ich twórczość, jest ona ciągłą linią podrywania się ku tej prawdzie, ku idei, ku tej właśnie wierze. Wiara ta panuje nad treścią, formą; wiara ta wywołuje w nich natchnienie. Są na to artystami, by się przez nich wypowiedziała najgłębsza treść ich sumienia. — Typ drugi, w stosunku do pierwszego jest bezwiednie anarchistyczny. Czasem wesoło, czasem tylko uroczo anarchistyczny. W tych wiara nie jest pokładem stałym, lecz przychodzi na zawołanie. Są artystami na to, by świat miał ich

dzieła. Nie obowiązek wobec ducha, lecz świetność pomyślanego dzieła staje się celem ich twórczości. Jedno dzieło ich może ideowo przeczyć drugiemu ich dziełu — o to nie dbają. Nie znaczy to, by dzieła ich były ideowo puste. Przeciwnie, mogą być one pełne sumienia duchowego, tylko że fanatyzm dla idei dzieła kończy się u nich z postawieniem ostatniej kropki, z odłożeniem pendzla. Nie służba wierze życia, lecz rozkaz wyobraźni jest ich panem. To są najemni rycerze, kondotierzy na żołdzie własnej wyobraźni. Nie dobro i nie szczęście, z wygranej walki płynące jest gwiazdą przewodnią ich męstwa, lecz rozkosz walki, sam akt tworzenia, hyr pięknego złożenia się mieczem, radość rozwiązania pomysłu, bez wielkiej troski, jakim bogom pomysł przysporzy wiernych. Gdy tamci Dantejscy jednego Boga mają i do niego twórczością się modlą, ci politeistycznie raz na cześć tego, drugi raz na cześć owego bóstwa radość swoją przeżywają.

Można powiedzieć, że każdy niemal artysta jest mniej lub więcej takim politeistą. Takie już jest fatum sztuki, tworzenia. Niczem dla artysty idea, choćby najwznioślejsza, gdy nie widzi jej przeobrażonej w dzieło, w wyraz artystyczny. Więc u podstaw twórczości leży ta lenna zależność idei wobec formy. Dopiero wyjątkowy hart ducha, wyjątkowe kapłaństwo idei przezwycięża tę fatalność twórczości i nagina ją do tego, co w nim jest *suprema lex*.

Tego od k a ż d e g o artysty wymaga Krasiński

i w dalszym ciągu zapalczywie stosuje wymaganie owo do Heinego:

„Wiesz co Dante wyrzekł, kiedy w piekle ujrzał kondotyerów francuzkich, którzy mężnymi byli i bitwę nie jedną wygrali, tylko żadnej wiary, ni czci nie mieli“? Wyrzekł: *guarda e passa*. Niech to służy Heinemu“.

Słowa te pisane były w jarej młodości poety, więc są zapalczywe. Wiek męzki strząsł później nie jedną wiosenną zadziorność, ale jądro przekonania pozostało w Krasińskim na długo — to samo.

* * *

Rzeczą zrozumiałą jest, że wysoki piedestał, podstawiony przez Krasińskiego pojęciu sztuki, łączył się w nim i z wyższem poczuciem godności artysty. Nie zapomnijmy, że wiek Krasińskiego choć tak stosunkowo blizki naszych czasów, był epoką, w której społeczeństwo odnosiło się do poety, literata, malarza, muzyka i t. d. nader lekceważąco. Stanisław August mianował szambelanami ludzi talentu, by ich zabezpieczyć przed lekceważeniem ogółu. Bez tego uważani by byli za coś pośredniego między człowiekiem towarzystwa a komedyantem, który znowu uważany był za coś pośredniego między kamerdynerem a drapichrustem. Klasycy Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego zgodnie z poczuciem powszechnem literaturę swoją uważali za

bardzo miłe ale drugorzędne powołanie życia. Woronicz, Staszyc, Kajetan Koźmian, Osiński, Morawski, Wężyk, Alexander Chodkiewicz, Sapieha, Kostka Potocki — każdy z nich był przedewszystkiem niezależnym magnatem lub mężem stanu, a potem dopiero poetą lub krytykiem. Dużym wyłomem było już zaprzyjaźnienie się z autorem *Barbary*, Felińskim. On też był jedynym wśród nich literatem zawodowym. Przynależność do towarzystwa — w braku godności społecznej — mogły ostatecznie wyrobić zasługi rycerskie. Jak jednak istota zasług literackich nie odgrywała wielkiej roli w duchu ówczesnych pojęć, świadczy naiwne wyznanie klasyka L. Kropińskiego: „Dwudziestoma ranami pokryty byłem podczas szturmu na Pragę, a pan X w gazecie swej twierdzi, że dzieła moje nie mają wartości literackiej". — To też w antagonizmie starych przeciw wschodzącym romantykom pewną rolę odgrywało i zdziwienie, że jakiś drobny nauczyciel Mickiewicz, jakiś aplikant Mochnacki chcą być literatami.

Taki stan rzeczy przetrwał więc do epoki romantycznej. Jednostki z arystokracyi przyjaźniły się z Mickiewiczem lub Słowackim, ale ogół nie przejmował się ich geniuszem, ani nie myślał o pochyleniu przed nim głowy. Nie dadzą się ująć w monografię, ale łatwo sobie wyobrazić, jak znaczne musiały być zasługi Krasińskiego w wywalczeniu respektu dla poetów, dla geniuszu artystycznego. Ta okoliczność, że ordynat Opinogórski ściele się hoł-

downiczo przed *Anhellim*, przed *Balladyną*, przed *Panem Tadeuszem*, więcej oczywiście przemawiało do society, aniżeli, że autor *Irydiona* to czyni... Boczną więc furtą, ale w otoczenie Krasińskiego coś jednak wtargnęło i osiadło z tego jego osobistego kultu dla wielkości w sztuce, jego wewnętrznego pokłonu dla godności twórcy.

Łączyło się z tą akcyą nieuchwytną nauczanie swojego otoczenia, że sztuka nie jest piosenką ulicznego grajka, albo szpryncem hecarza, że zadaniem jej nie jest bawić, cieszyć, ani podchlebiać się lenistwu umysłowemu; rozszerzał przekonanie, iż poezya jest objawem tak ważnym, że czytelnik, gdy trzeba, musi zadać sobie trud wniknięcia w intencye autora. Wielu wówczas wśród przyjaciół Krasińskiego było ludzi, którym nigdy zadość często należało przypominać aforyzm Sainte-Beuve'a: „gdy się uderzysz książką w głowę i usłyszysz dźwięk pusty, nie zawsze to jest winą książki". Mozolne z tego powodu z najbliższymi przechodził rozprawy na temat Słowackiego. Bardzo inteligentnym skądinąd ludziom musiał jak dzieciom tłómaczyć, co to jest Balladyna, co Grabiec, co Kirkor, co Ellenai. Gdy mu wzamian szczerze odpisywano: „no tak, ale Słowacki jest mętny — nic go nie rozumiemy" — i gdy wiedział, że wieści te dochodzą do autora *Anhellego*, pospiesza podać mu ramię solidarności artystycznej:

„Gdy Byron zaczął drgać nad uszami ludzi, lu-

dzie rzekli: „ciemny, ciemny, ciemny! Dziś w każde dziecię już wsiąkły myśli Byrona“.

„Co ich matkom i ojcom z pracą niejaką wcisnęło się do mózgu, to już w ich żyłach w ich krwi naturalnie żyje.“

„Gdy pan Adam zaczął balladować, kto nie porwał się z całej Polski przeciw niemu? Wszystkie wiewiórki z sosen pisnęły, zawieszając się na rudych ogonach: „niedowarzony!..“ A potem co się stało?“

Tej walce Krasińskiego z otoczeniem o Słowackiego zawdzięcza literatura polska świetne analizy, które nawet w tak fragmentarycznej, jak pozostały, formie wynoszą autora *Nieboskiej komedyi* na czoło geniuszu krytycznego w ówczesnej dobie naszej. Geniusz ów objawia Krasiński nie tylko zresztą przy ocenie przyjaciela. Każda jego uwaga o pisarzach swoich i obcych tchnie tem jasnowidztwem, które umie przedzierać się po przez gąszcz pozorów, docierać do istoty rzeczy. Nie zawsze się Krasiński nie myli; czasem, zwłaszcza w latach modzieńczych, wpada w przesadę, która nie tyle jest jego właściwością, ile modą epoki — ale przy tych usterkach od najwcześniejszego swego wieku w różnorodnych, choćby nawet przypadkowych sądach utrzymuje wytrzymałą linię konsekwencyi. Pod skórą tych opinij, wywodów, spostrzeżeń wyczuwamy zawsze jednolity kościec logiki i dobre skoordynowanie z zasadniczym kręgosłupem myśli. Wyczuwamy organizacyę,

która w dziedzinie sądzenia nie lubi ulegać kaprysom, stara się wobec siebie być odpowiedzialną i która z niecodziennym nakładem zdobywczego trudu dąży do wytworzenia spoistego systematu estetyki.

Zesumować te cechy intelektualne — a stanie przed nami oblicze urodzonego krytyka sztuki i literatury, szczęśliwe połączenie impresyonisty z badaczem i z filozofem swojej wiary artystycznej.

Równocześnie nasuwa się pod wrażenie odwrotna strona zjawiska: stosunek takiego typu umysłowości do twórczości. Nie jest to odosobnionem przekonaniem, że szczyt twórczości Krasińskiego przypada na *Nieboską komedyę* i *Irydiona,* czyli na wiek jego młodzieńczy. Wszystko, co napisał w wieku męzkim nie może już dorównywać tym dwu arcydziełom. Wiemy jak wielkie znaczenie historyczne mają *Psalmy,* ale nie trudno dostrzedz, iż ten ostatni, tak prawdziwie heroiczny etap wielkiej twórczości poety, nie tyle już ma w sobie potęgi poezyi, ile ogromu krasomówstwa.

Dalej. Gdy się wczytujemy w utwory chłopięce poety w podziw wprowadza nas nie jedna doskonałość w nich zawarta, ten właśnie pęd czysto-poetycki, który zmężniał w *Nieboskiej,* a który ustąpił w wieku męzkim. Stajemy tedy wobec faktu, iż instynkt poetycki, owo rozskrzydlenie władz duchowych, które znamionuje każdego wielkiego artystę, było wrodzone Krasińskiemu, wypowiedziało się taką mocą w *Nieboskiej* i *Irydionie,* poczem zaczęło

zwolna spadać z ukochanych przezeń błękitów ku ziemi. — Biografie poety aż nadto wiele przytaczają motywów psychicznych, które taki a nie inny los poezyi Krasińskiego gotowały. Do wielu już poruszonych niejednokrotnie, nie od rzeczy może będzie przytoczyć i motyw, wypływający z tego wszystkiego, czem się w niniejszym szkicu zajmujemy:

Nieodzowny warunkiem wielkiej twórczości jest swoboda bez programów. Bez pewnej dozy lekkomyślnego szału, niepamięci o tem, jak się wyda dzieło wszelkim teoretykom i wszelkim teoryom, bez tego ozonu artystycznego — niema pełnego tchu twórczości. Bolesne jest dzieło, gdy składa się ono li tylko z pierwiastków tego wolnego szału, ale rzadko żywe bywa, gdy ich zupełnie braknie. Krasiński w umysłowości swojej, od chwili, gdy wkroczył w epokę wpływów niemieckich, przywiązał do skrzydeł swoich ciężar spiżowej logiki, konstrukcyi filozoficznej, apriorystycznej sieci postulatów. W sieć tę musiała się zawikłać wolność jego natchnienia. Jeżeli z piękną, marmurowo magnacką wizyjnością *Irydiona* porównamy zjawę Czarneckiego w *Przedświcie,* to łatwo dostrzeżemy, że jest to już wizya z programu.

W *Irydionie*, w *Nieboskiej komedyi* każde słowo dźwięczy tym szlachetnym realizmem, który się rodzi z bezinteresownego przeczucia dusz ludzkich. Gdy zaś Czarnecki w *Przedświcie* mówi:

I z krwi naszej, naszej winy
Nim ten jeszcze wiek przeminie
Wyjdzie *ludów lud jedyny:*
Błogosławcie ojców winie. —

— czujemy w pełni mesyaniczne za grobem kształcenie się Czarneckiego, czujemy obcość słów dla duszy rycerza, który nadomiar, po Maciejowicach i Woli wypowiada przekonanie:

Wszystko razem dobrze, pięknie!

A gdy od *Przedświtu* ruszymy ku *Psalmom*, wówczas teoretyczność natchnienia jeszcze się wzmoże. Ideę psalmów budował już nie poeta, lecz świetny hegeliański logik, a jeszcze świetniejszy mówca piórem ją wypowiedział.

Nie można powiedzieć, by Krasiński sam nie czuł w sobie tego obciążenia teoretycznością.

Kiedy przed przyjacielem się skarżył:

Bóg mi odmówił tej anielskiej miary
Bez której ludziom nie zda się poeta —

— to tylko niewłaściwym przymiotnikiem (anielskiej) i mylnym rzeczownikiem (miara) określił niemoc lotu absolutnego. Ściślejszem osądzeniem jest już strofa następna, w której mówi, iż jego „serca dźwięki“ takie w sobie mają przekleństwo, że „nim ust dojdą, łamią się na dwoje“. Ale nie brak miary jakiejkolwiek, lecz nadmiar jej był temu przyczyną. Ciągła

analiza, ciągły nadmierny obrachunek sumienia filozoficznego dążył do tego, by pęd natchnienia analizować, doprowadzić do pierwiastków, łamać „na dwoje“ i na tysiące poczęcie twórcze. Jeżeli mimo to pozostał wielkim poetą, to dowód, że się urodził może na największego.

Od czasu do czasu próbuje też wyrwać się z cieśni teoretyczności. Pragnie wejść w świat błędu, nieścisłości, czyli „rozmaitości“, jak to określa. W jednem z młodzieńczych swych odezwań się mówi naiwnie: „Ja zarzucam na pewien czas pisanie, biorę się do życia“. Doszedł do tego mianowicie drogą negatywnej nauki z Byrona: „Byron nie rozumiał rozmaitości, a to jest połowa całego tworzenia. By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy“. — I ta tęsknota, coraz dojrzalej definiowana trwa w nim ciągle potencyonalna, i bodaj nigdy kinetycznie nie spełniona. —

* * *

Zaznaczane już było powyżej, jak wychowanie wśród klasyków Królestwa kongresowego zapadło w usposobienie artystyczne Krasińskiego, jak nawet w okresie jego byronistycznym szło niezależnie i obok manfredyzmu.

Czego nie dokonał Byron, z tem się w umysłowości Krasińskiego uporała filozofia niemiecka. Zdecydowanym romantykiem staje się poeta w epoce

tego nowego wpływu. Schelling, a jeszcze więcej Novalis, a nadewszystko niewątpliwie Jean Paul upewniają go co do wyższości poznawania *Niepoznawalnego,* co do wyższości *intuicyi* nad racyonalizmem Racine'a i epoki francuzkiej XVIII-tego stulecia.

„Byłem w Pompei — pisze w roku 1835: — piękne są pomniki w tej odgrzebanej mumii. Architektura grecka skandowana jak wiersze „Eneidy", matematyka, prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. Tu dopiero starożytność się pojmuje i porównywa z nowymi czasy. Starożytni szli od nieskończoności w skończoność; co od pierwszej zarwać mogli, opisywali drugą. My od skończoności wychodzim, a dążym do nieskończoności".

My, to znaczy romantycy. Jeżeli romantycy walczyli z pseudo-klasycyzmem, to jednak walki swej nie rozszerzali na teren klasycyzmu antycznego. I Schiller i jego następcy, pomni zasług Winckelmanna, żywili dla Hellady gorący kult. Dla Kleista, dla Novalisa świat mytów i bohaterów greckich równie był drogi, jak dla Goethego i nawet znienawidzonego najbardziej Rasyna. Chętnie wracali po temat choćby do Pentezylei, co najwyżej, dla honoru domu, rozwichrzając „w kierunku wieczności" legendy o nich. Ten ugodowy kult przebija się i w liście Krasińskiego o Pompei. Czuć w nim dobry stosunek państwa Romantyzmu do mocarstwa Antyku, z którym niema zatargu, bo niema bezpośrednich granic zetknięcia chronologicznego.

Ponadto w liście tym da się dotrzeć do niedawnych jeszcze u poety respektów dla ładu, dla monarchicznej górności tworzenia klasycznego.

„Oni (starożytni) mieli obręb ciaśniejszy, ale daleko lepiej go znali i rozumieli, niż my nasz rozumiemy. Stąd nasze usterki i brak powagi i skoki i potykania się; w nich zaś godność i surowość, bo kto zna dobrze drogę swoją, ten poważnie stąpa".

Na tym hołdzie kończy się jednak uznanie u neofity romantyzmu. Reszta listu to już szereg argumentów, dążących do wykazania, że prawdziwa sztuka rozpoczyna się od romantyzmu:

„... oni byli synami ziemi i ziemię wgłąb kopali: my, jak elektryczność, rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeją i weź katedrę w Kolonii. W Pompei równoległobok i elipsa to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone: nic niema po za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii ty idziesz za strzałą gotycką, a kiedy się przerwie ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje: w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczna, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało; ciało najpiękniejsze w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nie żywe.

„Im trzeba było symetryi, jedności, co pochodziło stąd, że oni jedną tylko część człowieka znali,

to jest ciało i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu, złożonem z duszy i z ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch“.

To obóz starych, obóz przeciwników obrzucał romantyków zarzutem, iż są w formie i w myślach pstrokaci. Krasiński podejmuje zarzut, stara się w wewnętrznych walorach ducha romantycznego znaleźć harmonię z formą. Z chwilą, gdy nowy prąd podjął pracę wypowiedzenia całego irracyonalizmu, z jakiego się składa wnętrze psychiczne człowieka, forma dzieł nie może być już taka architektonicznie prostopadła jak w *Cydzie*, muszą się znaleźć w dziele romantycznem kształty, wyrażające burzliwość i chaos, musi forma suggestyonować czytelnika, słuchacza i widza plastycznym wyrazem szarpania się. Tę swoistość formy romantycznej miał na myśli tutaj Krasiński.

I w imieniu swojej epoki dumny jest z tej „dzikiej“ jak ją nazywano, sztuki:

„... my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniejszymi, niż oni. Oni materyalnie bardziej idealnymi byli, bo realność zwykle u ludzi to materya. Lecz u mnie rzeczywistością jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury; ponieważ my wyżsi dążeniem i wiedzą, zatem realniejsi jesteśmy. Im kto bliżej Boga, tem jest prawdziwszym, realniejszym“.

Wreszcie na zakończenie daje poeta wspaniałą konkluzyę obrazową:

„Od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie fałdy tuniki i toga zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości; ale jej duch dziwnie wypiękniał i wyzwolił się".

Nie tylko dlatego, że każdy „wraca chętnie do swej pierwszej miłości", ale przedewszystkiem dla tego, że zorganizowana w ład umysłowość Krasińskiego predestynowana była do tego, by wcześniej czy później zatęsknić za formą klasyczną — teorye Krasińskiego z biegiem lat zaczynają przeprowadzać korekturę medytacyj, wysnutych ze zwalisk pompejańskich. Estetyka jego nie przestaje cenić tych wielkich zasług, które romantyzm wykazał w dziedzinie idei, podboju uczuć, w zdobyciu i wyciągnięciu na światło psychiki podświadomej, w ujawnieniu tych tajemnic duszy, nad któremi klasycyzm XVIII-tego wieku przechodził, jak nad skarbami, ukrytymi pod ziemią; równocześnie jednak powstaje w konserwatywnym instynkcie poety tęsknota, by geniusz ludzki wynalazł na wyrażenie tych wielkości nowych formę harmonijnie klasyczną. Zaczął marzyć o klasycyzmie romantyzmu. W roku 1847, kiedy niejedna dawniejsza medytacya przeszła w nim w stan pogodzenia sprzeczności, — pisze:

„Duch jest Romantykiem dotąd, więc w nim klasycznego nie szukaj zaokrąglenia. Kiedyś przyjdzie chwila,

gdzie forma klasyczna przypadnie do treści olbrzymiej jego".

Niestety zakończenie poglądu wpada w melancholię rzeczy poza-doczesnych; „żywot kiedyś wieczny, po rozwiązaniu losów człowieczeństwa pogodzi klasycyzm z Romantycznością". Zaprawdę zbyt wielkie wymagania od wiekuistości, by w takie szczegóły losów historyi literatury wchodziła! Daleko też większą otuchą w tym kierunku tchnie list do Słowackiego, wcześniejszy chronologicznie, z roku 1840:

„Dziś dochodzim do punktu, w którym duch nasz przechyli się ku nowemu poezyi poczęciu, ku przybraniu świeżych form, nieznanych, nieoglądanych dotąd, a szerszych niż przeszłe, a jednak tem czystszych, treściwszych, prostszych! Czem perystyl marmurowy grecki pięknial przy słońcu i czem gotycka czarna katedra tęskniła przy księżycu, to i owo (jedno i drugie — *przyp. ref.*) zleje się razem w wyższą potęgę, zawierającą całą rozmaitość i szerz katedry, całą jedność i prostotę świątyni" (greckiej). Słowem znowu stworzyć się da syntezę z tezy (Hellady) i antytezy (irracyonalnej formy po-szyllerowskiej).

Z dalszych słów Krasińskiego bije młoda ufność, że chwila tej syntezy blizka:

„Wprowadzim, że tak powiem, komy, punkta, rytm doskonale miarowy w ten las ogromny szumny, rozrzucony gotycyzmu; na treść jego nieskończoną wy-

najdziem formę skończoną, która tę treść doskonale odbije marmurowo biało".

Wówczas to, gdy Antyk zbrata się z Byronem, a „intuicya nieznanego" z powrotem ku starej, wrodzonej miłości dla sztuki logicznej, — wówczas obiecuje sobie poeta:

„Stanie się ogół piękności, w którym będzie i człowiek i ta ziemia i niebo i Bóg razem, tak jak są we wszechświecie, tak jak są istotnie w duchu naszym".

Nie trudno przewidzieć, że powrotną drogę ku klasycyzmowi w latach następnych odbywał Krasiński przyspieszonym krokiem. Oczywiście nie był to już ś. p. pamięci klasycyzm Kajetana Koźmiana lub Osińskiego, był to klasycyzm umysłu o możliwie najszerszych horyzontach, trudniejsze zadania sobie stawiający, ale skoro raz wstąpił na scieżkę tego poglądu, już zaczęło znikać z jego oczu wiele z dawniejszych walk o romantyzm; w niepamięć poszło niejedno z dawnych upomnień o prawie nieprzystępności w dziele sztuki. Gdy w r. 1847 wziął w rękę wydany rapsod *Króla-Ducha,* odruchowo odzywa się tak, jak odzywali się o *Balladynie* lub *Anhellim* gromieni za to przezeń Gaszyński lub Roman Załuski:

— Nic prawiem nie zrozumiał.

Nie trzeba się uwodzić przypuszczeniem, że we wyrażeniu Krasińskiego o *Królu-Duchu* odszukać się da echo waśni osobistej i artystycznej między nim

a Słowackim. Wystarczyłoby przytoczyć jego serdeczny odzew boleści — na wiadomość o śmierci Juliusza: „Biedny Juliusz Słowacki umarł nagle, niespodzianie. Język polski traci w nim najprzedniejszego mistrza. Żył w samotności i niesłychanem wyprężeniu ducha, marzył przeznaczenie wielkie; myślał, że do nowej Jeruzalem w tryumfie wchodzić będzie i skończył tak przed czasem. Biedny!" — Jeśli jednak ten fragment nie starczy za argument, to trzeba się odwołać wprost do rycerskiej nawskroś natury Krasińskiego i do niezwykłej jego cnoty sprawiedliwego wrażenia, osądzania dzieł sztuki, która wytrzymała przecie i próbę odpowiedzi Słowackiego *Autorowi trzech psalmów*. Nie! Krasiński mówi o *Królu-Duchu* z całą szczerością wielkiego artysty i sąd jego nie obciążony jest żadnym przypadkowym osadem. Zresztą dziś po kilkudziesięciu latach łatwo sprawdzić, że tęgi krytyczny umysł Krasińskiego nie pozostał i w tym wypadku w zbyt wielkim błędzie: *Balladyna* czy *Anhelli* dziś tylko niepoprawnie uprzedzonych razić mogą niejasnością. Wytyczna zaś idei *Króla-Ducha* jak była wówczas, tak i dziś pozostaje wspaniałym problematem.

Nie! nie uboczne względy dyktowały Krasińskiemu taki a nie inny sąd, — nie uboczne względy, lecz wewnętrzny nakaz tej umysłowości, która od klasycyzmu racyonalności — przez romantyzm formy i ducha szła do klasycyzmu romantyki.

A. Grzymała-Siedlecki.

Od wydawcy.

Tom niniejszy Myśli Krasińskiego o sztuce zawiera tylko część materyału, który poeta zostawił. Nie objęte tu są — ze względów od nas niezależnych — te myśli, które ujawnią się w korespondencyi z Cieszkowskim i z Delfiną Potocką, gdy korespondencye owe ukażą się w wydawnictwach. Książka nasza zawiera przeto szereg spostrzeżeń Krasińskiego z jego wcześniejszej doby rozwoju, w której zresztą zagadnienia estetyczne najsilniej go przejmowały. Ze względu na jednolitość chronologiczną tych myśli odłożyliśmy do dalszej edycyi uwagi Krasińskiego o sztuce zawarte w listach do Ary Scheffera, które wiążą się z epoką korespondencyi do Cieszkowskiego. Umieściliśmy natomiast kilka wynurzeń z późniejszej epoki poety, by czytelnik już dziś mógł uzyskać obraz przemian, jakie zaszły w estetyce Krasińskiego.

O POEZYI I SZTUCE.

Czuj, patrz, a będziesz wielkim poetą. Byron był wielkim poetą rozpaczy, bo czuł rozpacz. Balzac jest kiepskim pisarzem scen strasznych, bo nigdy nie był przy takich scenach obecnym. Nie utrzymuję, że trzeba asystować przy każdej scenie, nim się ją napisze, bo byłoby się wówczas tylko nędznym gawędziarzem — pocóżby był wówczas potrzebny geniusz twórcy? Ale trzeba w sobie mieć pierwiastki tych scen, które się pisze, jak w dniu tworzenia wszechświata Bóg miał w sobie jego pierwiastki.

L. do Reeve'a. 1831.

Przypomnij sobie, Henryku, że to wielkie myśli kształtują poetę, podczas gdy poeta to jedna z wielkich myśli Boga.

Co do mnie, przekonałem się temi czasy, że posiadam w swem łonie iskierkę poezyi, bardzo w istocie niedoskonałą, bo mi nie staje rytmu. Dowodem posiadania to to, że choć nie mam nadziei, by mię kiedy czytano, piszę a piszę z niezmiennym zapałem. Piszę, bo jestem zmuszony pisać; piszę, dlatego, że piszę. *I cannot choose but write*),* jak powiedział

*) „Nie mogę nic — tylko pisać".

Coleridge. Cóż to innego jest być poetą, jak nie to, że się ma nadmiar myśli, które piorunem wydobywają się ponad powierzchnię duszy i wrą nad nią, dopóki nie znajdą ujścia? A ujście owo mało dba o to, czy prowadzi do uszu, czy nie; żądnym jedynie otrząśnięcia się z tego ognia, który mię piecze i nie daje chwili wytchnienia.

L. do Reeve'a. 1831.

...bo widzisz, sztuka to prawda prawdy, uczucie uczucia, a nie uczucie tylko. Niewypowiedzianych rozkoszy zażywa artysta, ale też przeznaczeniem jego jest nieść cierpienie większe, niż je nieść może ktokolwiek inny na świecie. Jego samolubstwo jest szczytne — ale nie przestaje być ono samolubstwem. Co pozostaje artyście wówczas, gdy widzi, że musi przestać być sobą, jeśli chce zaznać szczęścia? Tu się zaczyna jego piekło. Artysta nigdy nie będzie (np.) wiedział, co to jest miłość kobiety, bo dla artysty wszystko wokół — to on. On stwarza wszystko: świat, posąg, wiersz, kochankę. Kocha swoje arcydzieła, ale nic więcej. Oto, dlaczego trucizną dlań jest rzeczywistość. Oto, dlaczego nie sposób, by mógł znaleźć spełnienie swych pragnień, końca swych marzeń. Wszystko, co nie jest nim, zniechęca go i doprowadza do rozpaczy. Pośród ludzi żyje jak Kain z piętnem przekleństwa na czole. A przecież kocha świat do szaleństwa, pragnie szczęścia dla ludzi, choć świat odtrąca go na każdym kroku. Zato

od chwili, gdy jest sam — jest szczęsny. Silny jest jak pół-bóg. Oto, dlaczego wielki artysta nie bywa nigdy ani dobrym mężem, ani dobrym ojcem. To jest straszne! Oto, co tłómaczy nienawiść Byrona do świata, oto, co nas dwóch zniechęca do tego, co tylu ludziom czyni przyjemność i co jest dla nich mądre. Drogo opłaca się dar przypuszczenia do tajemnic bogów. Mała kropelka, spadła z wyż na twoje czoło, czyni cię niezdolnym do współżycia ze światem; a niestety nie stajesz się przez nią aniołem, nie przestajesz być człowiekiem — tylko nie możesz mieć braci.

L. do Reeve'a. 1833.

Marzenia naszej wyobraźni, złudzenia, które są warunkiem naszego istnienia, dopóki jesteśmy młodzi, mogą się wydać błędem w świetle analizy praktycznej świata. Widziane jednak nieco zwyż, stają się prawdą świata wyższego, gdzie wszystko jest syntezą, gdzie nie znajdziesz wieczystej analizy krwi i potu. W naszych marzeniach, w naszych wspaniałych koncepcyach, które zresztą mogą śmieszyć tłum, — nie czujemy nigdy najmniejszego wysiłku, nasze czoło gotowe zawsze stanąć piorunowi nieba; padamy natomiast ze znużenia, gdy trzeba dwa kroki stąpić na ziemi, powiedzieć kilka słów, zejść do wydarzeń codziennych. A przecież, przysięgam, starczyłoby mi sił, by przebiegnąć Saharę z kochanką, gdyby kochanka była tem, czem jest o niej moje

marzenie. Co chcę przez to powiedzieć? Chcę przez to powiedzieć, że niegdyś, w okresie, poprzedzającym upadek człowieka, świat rządził się prawami, podobnemi do praw, które dziś powstają czasem w naszych duszach — i że, gdy spełnią się kiedyś nasze losy, świat na nowo wróci do onych praw. A więc marzyć — to być z innego świata, ale nie jest to być durniem lub szaleńcem. Szaleństwo rozpoczyna się jedynie wówczas, gdy przypuszczamy, że prawa naszych marzeń, naszej syntezy dadzą się zastosować do analizy świata rzeczywistego, każdy jednak zrazu musi wpadać w ten błąd. Niektórzy trwają w tym błędzie stale, są to istoty słabe, niekompletne, ale pełne rzewnej poezyi i nieszczęścia. Inni, pomiarkowawszy swoją młodość a nie rozpoznawszy, że jest ona cudowną wieścią Nieba, wyobrażają sobie, że wszystko skończone, że świat rzeczywisty to nędza. To są także istoty słabe i niekompletne, kończące na zepsuciu materyalizmu. Mało jest ludzi, którzyby mieli dość siły, by znieść trudy i przeszkody, by postanowić wejść mężnie w życie realne, jedynie prowadzące do jakich takich wyników — i którzy zachowują nieuronioną wiarę w owe obietnice, które im dawały dni upojenia, kiedy to jasnowidzieli świetlane sfery, a których już teraz nie mogą dosięgnąć. Ci jedynie zdziałają cośkolwiek. Złudzenia więc są symbolem: należy umieć powiązać je z czynem. Zrazu porzucamy pozytyw, żyjemy życiem czystem ducha; nie może to trwać

długo. Trzeba, by w człowieku dusza stopiła się z ciałem; gdy ta transformacya odbędzie się w indywidyum — odbędzie się również i w jego poezyi. Obrazy nabiorą więcej barw, wszystko w niej stanie się bardziej charakterystyczne, zacznie przedrążać głębie tradycyi; dni poety nie będą już spływać na słuchaniu aniołów i wywoływaniu demonów: będzie on człowiekiem; zrozumie braci, a gdy czasem wróci myślą do świata wyższego, to tak, jak się myślą wraca do wspomnień o kochance, lub do przeczucia szczęśliwości. Wtedy ludzie zrozumieją go i powiedzą: — „bądź pozdrowion!" — Nie czuję się zdolnym do takiej roli. Społeczeństwo jest dla mnie straszną potęgą — odpychającą. Każdy kontakt z istotą ludzką przyprawia mię o dreszcz i zabija we mnie wszelkie natchnienie. Silny jestem tylko wówczas, gdy jestem sam.

L. do Reeve'a. 1833.

„...mówiłem jeno, że każdy poemat, który ma człowieka za bohatera, musi być walką człowieka przeciw Losowi — ponad którym jest Opatrzność. Przez Los rozumiem wole ludzkie: mnogość ich zwraca się przeciwko mnie, przeciwko indywidyum. Ponieważ Bóg dał wolność duszy ludzkiej — więc wola jest również potęgą niezależną i twórczą. Wiele tych wolności, zebranych razem, mogą stworzyć człowiekowi Los, choćby działały, — jak to się zdarza najczęściej — bezwiednie. Los ten jest twardy, okru-

tny, nieubłagany; są to owe warunki twojego współżycia z ludźmi, wszystko to, co odstręcza cię od ludzi. Oto jest Los. Nie identyfikuję go z Losem w pojęciu greckiem. Tamten bowiem był czemś wiekuistem, niezwruszonem — ten zaś, choć straszny, ale uległy potędze wyższej, ciągły, jeżeli spojrzeć nań z punktu widzenia doczesności, jest tylko etapem z chwilą, gdy go porównany z wiecznością. A czasem nawet tu, pośród rzeczywistości — w poezyi zaś zawsze — promienie Opatrzności kruszą zimne i ponure więzienie Losu, otaczające nas zewsząd. Wyobraź sobie ocean chmur, widzialny z wierzchołka Alp; wyobraź sobie ten czarny tuman, skrywający dolinę, przyczepiony z dwóch stron do horyzontu, padający z wyż na ludzi: to Los. Ale oto naraz promienie słońca błękitnemi, złotemi i srebrnemi skrzydłami tęcz zaczynają ślizgać się po torsach tych chmur, zaczynają rozmiatać te posępne opary: to Opatrzność. Gdy słońce wejdzie na swój szczyt południowy, widzisz, jak całe to szare sklepienie niknie i zielone równiny dolin wstają w uśmiechu szczęścia do górnego błękitu: to połączenie człowieka z Opatrznością, to ostateczne zwycięstwo Opatrzności nad Losem. Wierz mi, w naturze więcej jest symbolów, niż przypuszczamy, więcej życia, niżby można ją o to posądzić, więcej wspaniałości, niż to można odczuć. Natura jest parabolą świata duchów.

. . . . ,

Skąd ci przyszła ta dziwna myśl, że Los to słabość? Ja utrzymuję, że słabość tylko tam jest, gdzie niema walki; gdzie walka tam, — mojem zdaniem — i siła i szlachetność. Los zaś, z natury swej, jest rzeczą, przeciwko której trzeba walczyć, choćby nas miał złamać, trzeba walczyć, choćby to przyniosło rany, męczeństwo — bo tylko ta walka chroni od słabości. Gdyby nie było Losu, gdyby rządziła tylko Opatrzność, wszystkoby przeszło w spokój, miły i słodki. Zbrodnie to i namiętności ludzkie wywołują Los z otchłannych głębi dusz — i On to radosny rozwija wówczas swe skrzydła cierpień ponad rodem ludzkim. Przypomnij sobie „słabiznę“ walki osobnika przeciw tłumom, *the war of many with one**). Przypomnij sobie słabość tego stanu duszy, kiedy wypełniona jest ona goryczą, a jednak nie chce skapitulować przed niemocą. Bo niemocą, letargiem, apatyą, ogłupieniem, stałymi salonami, obiadami i wieczerzami, kartami i gawędami, śmiesznościami i pijaństwem — ustępuje się Losowi: nie jego wpływowi ostatecznemu, lecz jego uderzeniom mocarnym. Przypomnij sobie słabość tego nieuśmierzenia wewnętrznego, choć cię otaczają zamkniętego nieprzyjaciele, klęski; kiedy wiesz, że wszystko stracone i na zawsze, a przecie nie tracisz nadziei w życie, nie myślisz ani o samobójstwie ani o kielichach biesiadnych. Przypomnij sobie słabość tej chwili,

---

*) Walka wszystkich (wielu) z jednym.

kiedy się ważysz sam jeden uderzyć ramieniem w nacierający na cię cios, wiedząc, że cios ten strzaska twoje ramię, zmiażdży kołem losu; nie odwracasz wzroku od męczarni, które cię oczekują, lecz wpatrujesz się w nie, jak orzeł, walczysz jak lew. Co cię podtrzymuje, przyjacielu, w tych walkach? Podtrzymuje cię ten promień słoneczny, ten sam, który rozprasza mgły, przeczucie Opatrzności, które gra rolę gwiazdy, jaką więzień dostrzega na szafirowem niebie poprzez żelazne zawory; to wiara w Boga-Zbawiciela; jedną ręką błogosławi On serce, które nie zaznało strachu, drugą ręką rzuca pomstę na skrzydła tych burz, na czoła tych, którzy je wywołali, rzuca pomstę, by je zniszczyła i znicestwiła. Słowem: niema energii bez Losu, niema walki bez Losu. W godzinie, poprzedzającej nieposłuszeństwo Ewy, nie było Losu; zrodził się on wówczas, gdy jabłko oddzieliło się od swej gałęzi. Opatrzność pozostała z wiedzą dobrego, a Los zjawił się, by posiąść wiedzę złego. Od tej chwili nie przestaje istnieć, działać, popychać zbiorowiska ludzkie przeciw jednostkom; potwór rozpętany z więzów, który się wynurzył ze swych otchłani, o którym mówią marzenia Patmosu. Jeśli natrafi na stworzenie słabe, drżące, bez serca, przechodzi po niem, skopie jego ciało, później przygniecie go sobą i roześmieje się śmiechem rozwartego od uciechy gardła. Ale jeśli na drodze zatrzyma go ramię człowieka walczące, musi nabrać tchu, zanim go zechce powalić, spoci się

krwią, napracuje skrzydłami, musi ponawiać ataki. I nie wiadomo, czy w zakonach stworzenia wypisano mu prawo na takiego człowieka, na człowieka, który dobrowolnie nie zgina głowy i kolana. Bo niema pana tam, gdzie niema niewolnika. Dla mnie, walka człowieka przeciw Losowi, to walka wolności przeciw despotyzmowi; wcześniej czy później Opatrzność nadciągnie na odsiecz wolności.

. . . .

Szekspir, naprzykład, jest zaiste wielkim poetą Losu, rzadko natomiast Opatrzność przenika doń. Czyż Desdemona nie padła, jako ofiara Losu, powstałego ze zbiegu nie jednej woli?

L. do Reeve'a. 1831.

...Nie naglij poematu. Nie pospieszaj zbytnio ku końcowi. Niech życie nałoży na cię ciężar swój, wzrosną odeń twoje siły. Tysiąc nowych wiadomości oświeci twoją duszę. Tysiąc nowych sytuacyj uwikła cię w swe wężowe sploty. Wydasz im bój Laokoona, a od walki płoną iskry, chcę powiedzieć myśli, nieznane uniesienia, — tem mocniejsze, tem potężniejsze wobec piękna, im więcej cię otoczy nizkości i brzydoty. Rozwinie się wówczas twoja piękna dusza, zacznie igrać ekstatycznie z momentami światła, zadrży odrazą na widok małości życia, które często bywają zbrodnią, uderzy skrzydłami, by przebić opary, rozbije się ku słońcu, by potem znowu opaść we mgłę, by znów na nowo poszybować w góry i znów opadnie i znów się rozniesie.

Przejścia od dnia do nocy, od mroków do brzasku staną się bardziej wartkie i bardziej dojmujące. Jak dotąd, Henryku, bywałeś człowiekiem tylko w chwilach twórczości, pozatem nie wychodziłeś z kręgu dziecka. Teraz, gdy krąg twój się rozszerzył, gdy jesteś wśród mężczyzn mężczyzną, staniesz w poezyi swej ponad ludźmi, bo być poetą, to znaczy przesuwać swoją rzeczywistość i obecność ku przeszłości i ku przyszłości, do możliwie najdalszych krańców, od ziemi ku niebu, od ziemi do piekła. Czekaj więc, aż szczelnie zgromadzisz myśli, uczucia poematu, byś nie żałował, iżeś czegoś przepomniał, iżeś wiele widział a mało odzwierciadlił. Trwaj w cierpliwości, a wzrośnie ta piramida ponad równiną. U jej podstaw nagromadzić się może warstwa strupiałych kości i pyłu dawnych twoich światów, osad twoich walk i goryczy, ale na wierzchołku zabłysną barwy zorzy, promień uszczknięty z nieśmiertelności, — zdobycz twoich zwycięstw wewnętrznych, twojej nadziei poety i chrześcianina.

L. do Reeve'a. 1831.

Co się tyczy Jelskiego, to wydaje mi się, że z dyablim pośpiechem mianujesz go wielkim człowiekiem. By być wielkim człowiekiem, trzeba zyskać posłannictwo, dane od Boga, trzeba rzucić do swoich nóg ród ludzki, rozwielbiony lub pełen wdzięczności, zatrzymać słońce, jak Jozue, wzburzyć świat, jak Napoleon, uchwycić epokę i skręcić ją wokół swych

pięciu palców, jak Karl Frankoński, wyzwolić swą ojczyznę, jak Washington, ukoić turbacye ludzkie, jak Sokrates lub Platon, albo rozedrzeć je do głębi rozpaczą i tytańskimi obrazy, jak Byron. Wielki człowiek znany jest wszędzie; do jego meteorycznego lotu zwracają się oczy wszystkich, a gdy zgaśnie, miliony głów pochylają się przygnębione do ziemi.

L. do Reeve'a. 1331.

A wieszże ty, co to jest poeta? Wieszże ty, że Bóg ma zwrócone oczy na poetę? Bo Bóg to przecie zesyła mu chwile natchnień. Poeta to nie jedno z ziaren piasku, równe miliardom innych, uspionych nad brzegiem Oceanu: poeta to piramida w pustyni, którą wichr wzniósł nad światem i każe jej dążyć swoimi szlakami, by pielgrzymi uklękali przed jej nadejściem.

L. do Reeve'a. 1832.

Pamiętaj, że poezya jest s y n t e z ą, analiza zawsze jej szkodzi. Uczucie poetyczne przecież jest nieopisanem, syntetycznem, kiedy się więc rozrabia na słowa, na myśli, trzeba, o ile sposób, zachować jego naturę: podnieść ramię i wskazać ludziom, a niech oni rozbierają, ile promieni w tej gwieździe i jak szybko światło jej bieży do ziemi.

L. do Gaszyńskiego. 1833.

Coraz więcej dziwię się naszym wiekiem, młodymi ludźmi, młodemi kobietami, otaczającymi mię.

Nikt nie chce być tem, czem jest, każdy śni o tem, by być Napoleonem; kobiety podrwiwają, gdy im mówić o małżeństwie, o macierzyństwie, one chcą być wielkimi politykami, wojownikami. Cała ta podniosłość jest tylko śmieszna. Rozkiełznana wyobraźnia szybuje nad głowami; mało już piersi, któreby miały w sobie serce. Zwał śmieszności, ciąg nudy, żądnej jakiegoś czynu, a uchylającej się odeń, a więc rzucającej się w nadzwyczajność, w fantastyczność, wałkoniącej się bez celu, z odrobiną talentu, który jednak nie udoli stworzyć cokolwiek; żyje to wszystko we wściekłej monotonii, bo nie ma podstawy twórczej: serca. Zobaczysz, jak to nędzne pokolenie będzie zwiane przedwcześnie, jak suchy liść, jak go zwieją napady nerwów. Wszystko gotowe na to, by sierp Niszczyciela nie znalazł nic na swej drodze, okrom wiotkich kłosków. Lenistwo jest wielkie wśród ludzi naszego czasu. Oto, tajemnica ich słabości i ich rojeń awanturniczych, braku artyzmu w ich poezyi, energii w ich polityce, wiary w ich wierzeniach. Trzeba być niezmordowanym, by być wielkim człowiekiem. Duch, rozlubowany w odpoczynkach, oddany ociężałości, oddala się od czynnej myśli boskiej; to są skazańcy, w tem ich cierń monotonii. Poznałem nareszcie nasz wiek — i wszystkie jego czcze egzaltacye przypominają mi bachiczne fanfaronady Falstafa-kapłona.

L. do Reeve'a. 1834.

A co się tyczy poezyi, i tu wbrew ci zaprzeczę twojego zdania. Co ty mnie chcesz stosować poezyą do ducha czasu. Alboż poezya jest nałożnicą marnych okoliczności? Literatura romansów, dzisiejsza francuzka literatura, oto mi nałożnica za pieniądze, oto mi małpiarstwo niezrozumianego Bajrona — bo ci mówię, że oni go nie rozumieją: *servile imitatorum pecus*. Ale poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty żyjącej w granicach, a przeznaczonych kiedyś do życia bez granic.

L. do Gaszyńskiego 1834.

Poeci a poezya, to dwie rzeczy często bardzo różne. Poeta, to śpiewak śpiewający sobie i kołu swojemu; poezya, to pieśń odwieczna ludzkości! Dlatego, poeta może być chemikiem, adwokatem etc., ale poezya nie może być ani chemią, ani polityką etc. Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyska-

wice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych — kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.

L. do Gaszyńskiego 1834.

Poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egyptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich, wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia.

L. do Gaszyńskiego 1834.

Historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, poetyczną się staje: to jest, że budżet, interwencya, handel etc. nikną, a zostaje się tylko ich synteza, to jest główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność i dlatego wkońcu historya jest najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem.

L. do Gaszyńskiego 1834.

W modę wchodzi pisać ewanielicznym stylem. Mickiewicz zaczął, Lammenais ciągnie dalej; zobaczysz, że wreszcie tyle się ewanielii namnoży, że *vaudeville* pan Scribe napisze ewanielicznie. Co to małp się zawsze kupi naokoło geniuszu. Za jeden

geniusz sto tysięcy głupców musi się urodzić, jakby massa ducha była na tym świecie skończona, jak massa materyi, i tylko mogła się ukazywać bardziej skupiona w wielkich ludziach, i za to też zaraz rozrzedzać się musiała w ich współczesnych.

L. do Gaszyńskiego. 1834.

Uprzytomnij sobie, Henryku, tę prawdę: nikt nie zdolen tak prędko zdać sobie sprawę z dna rzeczy, z zasłoniętych kart — jak kobieta. Gdy będziesz miał stosunek, nie staraj się nigdy imponować: bądź sobą, a pokocha cię. Nie mówię o tych miłościach, które muszą być budowane na podwalinach wyobraźni, które mają potrzebę przesady i wybiegania w chmury. Ale miłość mężczyzny dojrzałego musi być ufundowana na prawdzie; z jednej strony na pięknie i pociągu, z drugiej strony na sile charakteru. Bez siły charakteru, bez panowania nad sobą lepiej się wyrzec tutaj wszystkiego: i sławy i kobiety i ojczyzny. Opanowanie siebie, to prawdziwa poezya wieku męzkiego, to jest potęga. Przeszedłem sam przez wszystkie pośrednie fazy, zanim nie zrozumiałem, że życie moje było pasmem głupstw. Wierzaj mi, że życie rzeczywiste ma niezmierzoną w sobie poezyę — tylko nie tę samą, o której myślimy i którą piszemy. Jest to ta, którą odczuwamy, gdy nadchodzi moment poetyczny, a co do której — *per Dio*!—nie przychodzi nam do głowy nazwać ją słowem: p o e z y a.

— — — — — — — — — — — — —

Upewniam cię, będzie czytane to, co wówczas napiszesz, będzie uznane za dobre, bo się rozejdzie po sympatyach ludzkich. Poza naturą ludzką niemasz poezyi możliwej i wiernej. Różnorodności! Bądź wielorakim, jak dzieło stworzenia, które cię otacza — a j e d n y m, jak jesteś sam w sobie. Byron był tylko upiorem nocy długiej i burzliwej, trwożny, dopóki trwają ciemności, ale zapomnianym, gdy wschodzi zorza. A tylko przy promieniach słońca można szukać i odnajdywać. Kto naśladuje Byrona, nie przestanie być miernotą. A z ręką na sercu: — cośmy innego robili, poza naśladowaniem Byrona?

Żyć! żyć! Wychylić czaszę życia, szczęścia i smutku, powodzenia i przeciwności — później dopiero pióro w rękę.

L. do Reeve'a. 1834.

Byron stracił względy moje: wielki zapewne poeta, ale kto go chce naśladować, ten będzie miernym i szlamazarnym. Byron potem nie rozumiał rozmaitości, a to jest połowa całego stworzenia. By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, biorę się do życia: wychylę kilka pucharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siądę i zapiszę, i to będzie dobrem. Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd, my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa, jak niema ciała bez formy.

Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomięszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda. Inaczej niktby nie uczuł sympatyi do niego, raczej byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe. Tak więc zmodyfikowałem i z chmur zstąpiłem, i chmury mam dotąd za baldachim nad głową, nie za pobyt i mieszkanie. Co różni człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego od człowieka idealnego czysto? to, że w pierwszym jest ciągłe życie, to jest przemiana i walka uczuć, a w drugim tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawżdy ta sama. Są chwile uniesienia i opadnienia, to się życiem zowie, to jest ruch, to śledzić i poznać należy. Ztąd się wywija, że człowiek nie może być ciągle wielkim, rozumnym, natchnionym, dramatycznym. Jeśli go takim wystawisz, to będzie afektacya, przywara, brak rozsądku. Czego najwięcej trzeba unikać, to żeby bohatyry nasze nie wyglądały na aktorów. I ztąd pochodzi przesada literatury dzisiejszej, że autorowie miasto doznawania sami uczuć i faktów, przestają na chodzeniu regularnem na teatr i tam uczą się jakby z natury, kiedy już teatr jest nauką wyciągniętą z natury. Przez drugie ręce więc odbywa się poezya epoki naszej, i ztąd jest śmieszną i przesadzoną.

L. do Gaszyńskiego. 1834.

Co mnie nieraz dziwiło na świecie, to, że wielu waryatów i głupców narobiła poezya, i że źle znowu nie mieć poezyi; jeśli człowiek, który się *positif* urodził z łaski Pana Boga, chce się poetycznym wydać, to dziwolągi nadzwyczajne z siebie robi. Wielu są tego przykładem. Najprzód dobrego instyktu poetycznego nie mają, bo nie dany im jest, zatem wciąż fałszywie postępują. To osobliwie ich uwadze się wymyka, że prawda jest podstawą poezyi, i że bez prawdy, ale to najściślejszej, poezyi niema, że tam, gdzie niema jej, tam się nic nie sprowadzi, tylko sama śmieszność tam przyjdzie i zamiast bohatera, będzie buffon, zamiast pięknej wśród pięknych, będzie garderobiana. Tacy ludzie tak robią poezyę, jak szewc kiepskie buty, tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, że buty ciasne bolą nas, a ich śmieszności zdrowia nam przysparzają, rozśmieszając nas. Bądźcie więc błogosławieni, wszyscy młodzi bohaterowie, którzy sądzicie, że dosyć machać rękami i językiem na to, by poezyę sprowadzić; którzy jeździcie po nocach, szeplenicie po salonach, i na góry wśród wichrów się gramolicie w waszych natchnieniach samym sobie rozkosze miłości własnej, a nam przyjemne sprawiacie godziny.

L. do Sołtana. 1835.

W chwili tworzenia powinieneś być przed sobą samym, jedynie sobą zajętym; winieneś być sam w sobie tym, który jest dlatego, że jest w tej chwili.

Może się niejasno tłómaczę, ale świat twój powinien być w takim stosunku do ciebie, w jakim świat boski jest do Boga: to jest, świata być nie powinno, tylko ty jesteś — ty jeden, ty zawsze i zawsze ty! a z ciebie wszystko wypływa, i Mickiewicz i Dante, i księżyc i historya; to są dzieci, płody twoje, tyś je stworzył, bo jakże, gdybyś ich nie stworzył, mógłbyś je pojmować i opisywać, i w kształt sztuki oblekać. *L. do Gaszyńskiego. 1835.*

Czy wiesz, Henryku, co to jest poezya? W jednem słowie: jest to indywidualność ludzka, idąca poprzez czas, przestrzeń, pod wszelkiemi formami na ziemi i na gwiazdach; poezya to przeczucie nieśmiertelności i wspomnienie o istocie zeszłej. Poezya jest to heroiczna krawędź życia, umysłów, idei, jak religia jest krawędzią boską. Poezya to moje „ja“, postawione oko w oko z Bogiem.

L. do Reeve'a. 1835.

Przekleństwo tym Niemcom, Panteistom, filozofom. Oni chcą, by materya i duch jedno były, by zewnątrz świata, by za naturą nic już nie było;

. . . .

powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya to losy dusz naszych w przeszłości i w przyszłości, w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym; bo poezya moja i każdego, to to, że był kiedyś, gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze, czy na ziemi, czy

na jakimś komecie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyśćcu, czy w polach Elizejskich, czy na Wallhalli, byleby to on był, on! Bez tego już mi i oczy mojej kochanki, już mi i promienie słońca niemiłe. Ah! przeklęte Niemcy, filozofy.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Zgadzam się z tobą, że można zrobić coś wielkiego z tematu Giordana Bruno; pamiętaj tylko o jednem: cała poezya panteistyczna nie może wyjść po za te bożyszcza hinduskie przeogromne i potworne, straszne i przygniatające. Jest coś brutalnego w takiej poezyi. Tracąc ludzki punkt widzenia, poezya przestaje być prawdziwą i harmonijną. Zwyradnia się w filozofię, w formuły — i choćby nie wiem jak było gigantyczne to przeobrażenie, choćbyś dorzucił nie wiem jakie kolory wyobraźni, tajemnice sztuki, nie dojdziesz do niczego powabnego, do niczego istotnie poetycznego; bo — jednem słowem — jest tylko jeden temat poetyczny we wszechświecie — a nie jest nim ani Bóg, ani natura, tylko człowiek, człowiek działający przez swą nieśmiertelną indywidualność, w poprzed naturze, dla Boga lub przeciw Bogu. Poezya osadzona jest na przeczuciu nieśmiertelności osobowej. Wszystko, co się działo ze mną, zanim przyszedłem na padół szukać nędzy; wszystko, co mię czeka, gdy skończę już zbierać pokłosie nędzy na tym świecie — oto moja poezya.

L. do Reeve'a. 1836.

Symbolizować prawdę najwyższą — jest to zadanie poety; odkrywać ją — filozofa; być nią — Boga.

Niema innej poezyi, poza tą, która zamyka się w trzech słowach: „Bóg stworzył człowieka".

L. do Reeve'a. 1837.

Jeden jest tylko dla mnie moment bajki we wszechświecie: to gdy pączek róży rozwija się w kwiat; ale raz rozwinięty, ach! już nie będzie pączkiem nigdy. Poezya, kobieta, historya — tem samem są dla mnie. Żaden poemat, żaden dramat nie może się dla mnie równać z *Iliadą, Nibelungami,* z *Damajanti.* Rezoner Szekspir, kalkulator Goethe, nie upajają nas tak, jak młody Szyller, bo Szyller jest rzeczywiście młody. Średniowiecze jest zawsze dla mnie epoką wybraną, Grecya moją boską harmonią. Ach, młodości, młodości — tyś niebem.

L. do Reeve'a. 1837.

1. Jeśli kto stosuje dzieło sztuki do jednego tylko położenia, do jednego tylko kraju, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema: a zatem zarzut, że nie do Francyi zastosowane dzieło, jest niczem.

2. Jeśli kto w poezyi pojmuje tylko objawienie cząstkowe, czegoś, dziś, na tem miejscu i przy owych ludziach, a nie przyrodę wiekuistą czegoś:

ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą. Poeta nie bierze monarchizmu, arystokracyi lub republikanizmu tak, jak był lub będzie, tak, jak się zdarzył, ale tak, jak jest wiekuiście w duchu ludzkości.

Dopiero ten ideał ogólny w kształty zdarzeń zaszłych lub podobnych do zaszłych ubiera.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Największe utwory poetyczne: Iliada, Nibelungi, Ossianowe pieśni, i zgoła wszystkie pieśni ludu, tem żyją nieśmiertelnie, że są pełne czucia. Szekspir nie ma serca, Goethe również, za to też ich dzieła tylko są piękne, oni sami niczem! Chwały im nie zazdroszczę, bo u mnie poeta, który jest tylko artystą, nie ma nic człowieczego, jest istotą wątpliwą, zawieszoną między niebem a ziemią, wątpliwą jak mgła, wszystkich kształtów sługa doskonała a żadnego pani; istotą, której brak życia pod pewnym względem, przebywającą w filozoficznych raczej, niż poetycznych krainach — słowem, abstrakcyą, ideą, wszystkiem, co chcesz, tylko nie organizmem mieszczącym w sobie pełne odbicie Boga. Tego wielkość podobną jest do tych sił ślepych natury, które pozbawione sumienia i czucia, mogą jednak światłem widnokrąg cały obrać na pociechę ludom, albo też wstrząść nim, i strumieniami elektryczności wtłoczyć w ziemię tysiące ludzi żyjących. Lecz sam powiedz, czyż taka siła nie niższa od

każdego z tych zabitych ludzi? Czyż lawa, co zalała Pompeję, wyższa od Pompejanów? Oczywiście, że nie! A zatem Szekspir choć szeroki, jak łuna północna, co zawisła od bieguna do połowy niebios, mojem zdaniem, w hierarchii duchów żyjących niższy od Bajrona, który tylko mignął, jak znikoma błyskawica wśród burzy.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Hegel, powiadasz, stał się gwiazdą twoją polarną, ruszoną tylko magnetycznie w stronę katolicyzmu, zresztą nieubłaganie zatknioną na niebie! Ja ci na to powiem, że Hegel wielkim jest, ale coś większego jeszcze znam od Hegla: to i właśnie owo życie, które wszystko porywa, i kiedy Hegel pisał systema swoje, już zapewne z punktu Heglowskiego ono skoczyło było dalej.

Powiedz mi, czy nie możesz sobie wystawić, że są na świecie, że są w przestrzeniach żyjące rzeczywiście symbola idei; że nietylko idea w duchu ludzkim rozwija się pod postacią coraz wyższych, czystszych symbolów, które jedne po drugich nikną, jak mary, ale że w rzeczy samej rozwija się w czasie i przestrzeni, zapomocą form, że tak nazwę organicznych, żyjących, jej treść w sobie zawierających i będących nią, ale razem nią dramatycznie działającą, nią wrzącą, buchającą, latającą, grzmiącą, bujającą w pełni potęgi i życia. Widzisz, ja chcę koniecznie wznieść ciebie do świata duchów! Stary

poeta odzywa się we mnie: ciebie i Hegla chcę opasać łańcuchem szatanów, obwiązać aniołów wieńcami; chcę wszystkie baśnie rodu ludzkiego sprowadzić na stanowisko prawdy, bo mi się widzi, że fałszu i marzeń niema w wszechświecie, bo moje serce czuje, że wszystko, co zażądało, co upragnęło, znaleźć musi i ujrzeć. Nie tylko religia i poezya mogą się zredukować na filozofię, ale ja myślę, że jak w duchu ludzkim filozofia czysto się objawia pod formą religijną i poetyczną, tak w stworzeniu, w świecie, idea pierwiastkowa, *die Ur-idee*, objawia się pod kształtami religijnemi i poetycznemi, to jest, że religia i poezya są to prawdy nietylko *subjective*, ale też i *objective*. Ten świat, te prawdy postępują coraz dalej. My czujemy ich postęp, my równamy się z niemi, i co się dzieje wśród nich, odbija się w nas, i dwie historye są na świecie: historya rodu ludzkiego i historya świata duchom równoległa: dwie linie a jednak razem zjednoczone, w tem tajemnica wyższa od wszelkiej matematyki.

Skądinąd wyznać muszę, że tylko znam na ziemi dwa stany duszy szczęśliwej: albo błogie oddanie się myślom zaczerpniętym na łonie wieczności, zupełne zaprzeczenie skończoności filozoficznej, albo stan lub też moment skończoności, to jest teraźniejszości, podniesiony do najwyższego stopnia potęgi czyli namiętności. Dziwna nawet, że nigdy nie mogłem inaczej ukoić rozpaczy pochodzącej z tego drugiego stanu duszy, jak czytaniem Hegla lub Nowalisa. Ile

razy chciało mi się skonać z nieznacznych gwałtownych wzruszeń, brałem do rąk filozofię niemiecką i z niej piłem jakby opium ulgi, jakby chwilowe, lekkie zapomnienie.

Jednak nigdy jej zupełnie i nie we wszystkiem uwierzyłem. Nie miej jej za jedyną prawdę: ona jest prawdą, ale siostrą wielu innych istniejących w uniwersum; a dopiero tych wszystkich prawd prawda jest tem, co zowią życie, jest tem, od czego ród swój duch nasz wiedzie, i czego cząstką duch nasz jest. To jedno pewnem, że wszystko drzemie w duchu naszym, i że wszystko kiedyś będzie jego domem, ojczyzną, wiedzą i miłością. To czuję, tego pragnę i spodziewam się. To mi dalej żyć każe, to mi słodzi mordercze chwile sprzeczności i dyssonansów świata! Boże wielki, zmiłuj się nad nami!

Bo w rzeczy samej, zdarza się na świecie chwila takiej ironii, że zwątpienie chwyta za duszę naszą i prawie bluźnierstwo do ust nam się gwałtem ciśnie. Na znikomych widowniach skończoności tyle jest pozornych nieszczęść i błędów, tyle gorzkich zawodów, tyle szyderskich przerobień się uczuć wewnątrz nas i okoliczności na zewnątrz, że nie dziw, jeśli czasem stanie myśl ruszona niemocą i zaprzeczy nieskończonej dobroci i prawdzie, by wierzyć, że złe jest świata panem, a przypadek jego aniołem, jedynym aniołem stróżem. Ileż to prac podjętych a zwiędłych przed osiągnięciem celu; ile namiętnych podrzutów serca, które się na nic nie zdały; ile ro-

zumnych rachub, które wyszły na głupstwa i marność; ile głupstw uwieńczonych świetnym skutkiem; ile błogich chwil zapóźno zdarzonych, lub przypadłych takim istotom, które ich uczuć nie zdołały; ile żądz wiatrom powierzonych, rozproszonych, niszczonych; jaka okropna walka a ciągła między starością a młodością! Ile stąd niesprawiedliwości wzajemnych, zgryzot i wyrzutów, jaka konieczność poświęceń jednej strony dla drugiej, a tem samem, jaka konieczność okrucieństw; jakie żale niezapomniane, nieukojone, żale, czy tego, który się poświęcił, za straconym ideałem lub szczęściem, czy tego, który okrutnym był, gdy pozna, że był okrutnym! A co chwila zmienia się stosunek okrucieństwa: raz dzieci rodzicom, znów rodzice dzieciom rozżarzone węgle kładą na głowę! Ci, coby kochać się powinni i czują, że powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył — niecierpią się lub nudzą się jedni przy drugich, nie rozumieją się nawzajem! Domy ciche napozór, domy otoczone łanami zbóż spokojnych i sadem owocowych drzew, gdy wejdziesz w ich progi, piekłem ci się wydadzą; nie owym, gdzie grzmi piorun bożej potęgi i gdzie szatan Miltona zasiada na tronie wśród nieskończonych cieniów, ale piekłem potocznem, piekłem codzienności, kędy sztyletów i żmij niema, ale są krople zatrutego oleju, sączące jedna po drugiej, do lampy życia, i kolce drobniutkie, podobne kaktusowym, których dojrzeć nie potrafisz, a zatem wyjąć nie

możesz, a które jednak całą rękę przejmą ci świerzbieniem, bolem i gorączką. W takich ustroniach piekielnych najwięcej serc zwiędło na ziemi. Szczęśliwy ten, komu pęknie serce wśród burzy, kogo zdruzgocze olbrzymi obryw skały, kogo żelaza przebiją. Ten przynajmniej wie, czemu upadł i czuje godność swoją w upadku godzinie! Otóż to wszystko dzieje się na równinach, na padołach skończoności!... To wszystko, jak gruba zasłona kryje niebo, prawdę, ideały i szczęście; to stanowi pokusę, niedowiarstwo odmętu, zaślepienia, które wiedzie do straty wszelkiej otuchy i nadziei, do ostatecznego zwątpienia! Pokusy niema straszliwszej, wszystkie inne są tylko chwilowe! Ta jedna, ciągła, poczyna się z pierwszym dniem życia, a kończy się z ostatnim. Kto ją przemógł, kto własnym oczom nie wierzył, kto dotknął się lodu, a rozumiał, że żaru, kto miał ręce pokolone cierniami a o różach nie przestał marzyć, kto widnokrąg zasnuty mgłami za fałsz poczytał, za fałsz napomykający o prawdzie błękitów; ten zbawionym będzie, ten w skończoność nie uwierzył, ten jest synem Boga!

Zapewne, jeśli mam być zbawionym, to jedno mię zbawi kiedyś: żem nigdy nie przestał ufać w piękność, że uczucie piękności na wieki w głębi duszy mojej żyje. Pod estetyczną formą pojmuję dobro; poezya, co tylu ludzi gubi na ziemi, mojem zdaniem, jest rękojmią ich życia nieśmiertelnego kiedyś! Ależ, ilu ludziom się dostało dochować

uczucia poetycznego do końca? Wszyscy młodzi są poetami prawie, wszyscy starzy przeczą poezyi! A jednak starość byćby przynajmniej winna najpoetyczniejszym wiekiem, bo już zbliżona do wieczności; a przeszłość jej dość przeszła, by powlekła się artystowskim kolorytem wspomnienia.

L. do Jaroszyńskiego. 1839.

Teraz pozwól, bym kilka uwag dodał o dzisiejszym stanie filozofii w Niemczech.

Smutne to, arcysmutne rzeczy położenie! Ledwo ta potężna głowa, która stawiała sama siebie wśród głowy Chrystusa i Platona, opadła bez czucia, ledwo mózg Hegla stał się pastwą robaków, ucznie jego zatracili prawdę, którą im wykładał, lub tę prawdę dziwnie zagmatwali. Z jedności szkoły jego powstała rozmaitość, heterodoksye, schizmy, kłótnie, swary bez końca. Teraz Niemcy brzmią całą Hegelingów waśnią: jedni drugim zarzucają najszkaradniejszą teoryę; jedni drugich powołują przed trybunał opinii publicznej, rozdzierając zasłonę (jak twierdzą), która dotąd kryła posąg ten Izydy. Zasłoną zaś takową, w przybytku filozofii, bywają frazesy i niedostępna terminologia, pod którą albo przepaść, albo zbawienie zarówno ukrywać się mogą. Otóż Dr. Leo z Halli wystąpił z oskarżeniem na Hegelingów, sam także Hegelista, ale średni, umiarkowany i zarazem chrześcijański człowiek; w tem oskarżeniu zarzuca im po prostu:

1-o. Że, ot, cały systemat jest po prostu ateizmem, zaprzeczeniem Boga indywidualnego (Persönlichkeit Gottes) i nieśmiertelności duszy.

2-o. Usiłowaniem do obalenia chrześciaństwa zupełnie i ostatecznie, przez zamianę wszystkich jego dogmatów na pewien rodzaj mitologii; tak, jak to sławny Strauss ogromem pracy i nawałą nauki starał się wykazać w życiu Jezusa. To ostatnie dzieło ogromnie od trzech lat porusza Niemcy. Teologia jak może walczy przeciwko niemu, ale słabą jest; wróg jej zwyciężać się zdaje na polu polemiki. Hegel, jeśli już przewidywał taki ostateczny skutek, nigdy się z nim nie oświadczał jawnie, albo przynajmniej obwijał go tak misternym zmierzchem, że jeszcze w tym zmierzchu można było klęknąć przed ledwo widzialnym lecz bielejącym posągiem Chrystusa. Strauss całkiem ten zmierzch usunął, odemknął drzwi, rozbił szyby, wpuścił strugi światła; a gdy ono zalało świątynię, ujrzeli klęczący, że na ołtarzu nic a nic niema, prócz wielkiego historycznego wspomnienia, prócz mary jakiejś osłabłej i mglistej, szemrzącej cichym głosem: „niegdyś Bogiem mnie zwano“! I tu nasuwa mi się dość prawdziwa uwaga, t. j. że owa filozofia niemiecka, taka ogromna, taka pełna wzniosłej pogardy ku filozofii nędznej Francuzów XVIII-ego wieku, po siedmdziesięciu latach pracy tytańskiej doszła nareszcie zupełnie inną drogą, bo drogą idealizmu, do tego samego rezultatu, co materyalizm francuzki.

Wartoż było tyle pracować i pysznić się? Tyle pisać a tak mało wcielać się? Co od sześćdziesięciu lat stało się we Francyi i przeszło w czyn i jako czyn już się rozsypało i starło w proch, to samo dzisiaj dopiero zaczyna być tak silną, że z negacyi przechodzi w affirmacyę i znak swój — (minus) stawia na miejscu + (plus): uważaj, że na miejscu krzyża Chrystusowego! Możesz to nazwać kalamburem filozoficznym, ale są dziwne czasem, nawet w najdrobniejszych znaczkach i formach, znaczenia i symbole! Analiza rozrabiająca i niszcząca góruje dziś w Niemczech, literatura francuska ogromnie się przedziera przez rzekę; tłumaczą na łeb na szyję wszystkich jej klasyków i nieklasyków, zdobią ich edycye takiemi samemi winietami i obrazeczkami na środku i po bokach kart. Zgoła, lasy Hercyńskie czują ogromną ciekawość do Bulwarów, a Francya także zakochała się w wyrazach: panteizm, plastyczność, Subjectivität, Objectivität, Idee, Begriff, Selbstbewusstsein, i t. d., i t. d... I nic śmieszniejszego, od młodych Francuzików, jeżdżących dyliżansami, potrząsających włosami, długimi na łokieć, i wymawiających te tajemnicze słowa (osobliwie dla nich tajemnicze, bo ich nic a nic nie rozumieją), jakby magiczne jakie zaklęcia, mające wszystko ułatwić, pogodzić lub zniszczyć! Lecz mojem zdaniem, owi *Commisvoyageurs* wygrali, bo wcześniej czy później, przez wpływ tej filozofii idealnej, wyidealizują się; a Niemcy przegrali, bo przez wpływ literatury fran-

cuskiej wpadną w coraz większy sceptyzm. Kto wie, czy zresztą tego nie trzeba? Kto wie, czy Niemcy na tej drodze nie znajdą ciała sobie a Francuzi duszy? Niech przyszłość odpowie. Ja, jako widz i słuchacz, dodam jeszcze to: panteizm, czy jawny, czy ukryty, czy surowy, jak u Spinozy, czy przerobiony, lamowany złotem, jak u Szellinga i Hegla, jest tem właśnie, co oznacza, że duch wyłączny epoki, zaczętej przez reformę Lutra a we wszystkiem przeciwny feudalności czyli potędze indywiduum coraz bardziej potrzebuje wszystko na wzór siebie ułożyć, i świat, wszechświat pojąć na wzór siebie samego! Cała starożytność i wieki średnie, myślę, że to czas indywidualności człowieka, która siebie za jedność odgraniczoną, pewną, silną, poje'ynczą, jeśli chcesz egoistyczną, pojmuje. Zatem wszędzie masz w niebie Bogów pojedyńczych lub Boga osobistego, wszędzie patrycyat lub jedynowładztwo, nie słychać o masach ale są bohatery. Historya się pisze imionami wielkich ludzi, posągi ich, każdy na osobnej podstawie, stoją widne, stoją w przestrzeniach, jak słupy tej drogi bez końca. Teraz ozwała się inna cząstka ducha, ta, która lsiebie przyjmuje jako związaną z drugiemi, jako naeżącą do drugich, jako nie ja ale wszystko. Zaraz więc i Boga osobistego ona rozpuściła w oceanie ogromnym; zaraz patrycyat i kształt z góry władnący rozwiodła w tłumach, zaraz indywidualności duszy zaprzeczyła, i jednej tylko ludzkości nie-

śmiertelność przyznała; słowem, na swój obraz wszechświat urządziła: wszystko pojęła jako zlewek wielu, a nie jako dzieło jednego! I tak ślepy Homer został trzystu lub nie wiem wielu rapsodami; Rzymu historya poematem przez masy wymarzonym; Chrystus figurą, do której utworzenia przyłożyły się ludy i wieki. Przypomina mi to nowożytne stowarzyszenia: jak drogi żelazne, jak gmachy w Londynie z tysiąców sakiewek połączonych razem, tak Chrystus naprzykład, z tysiąców marzeń, stowarzyszonych koniecznością epoki, powstał i stoi? Czy to w oczy nie bije? Czy ta wyłączność nie dowodzi, żeśmy zawsze i ciągle na drodze błędu?... Ale jak linia krzywa, linia życia składa się w matematyce z nieskończonej ilości linii abstrakcyjnych, martwych, linii prostych, tak samo zapewne prawda składa się z nieskończonej ilości błędów. I zagadką ludzkości jest upić się każdym błędem, postawić go na nogi, uczcić go jako Boga, i wreszcie go obalić, uznając, że w tym bałwanie był jeden tylko promień Boga, a ten promień jeden ocalić, unieść z sobą i wpleść do następnej tęczy, aż, jak Jean Paul mówi, cały widnokrąg stanie się jednym, rozwitym, jednego kwiatu kielichem!

L. do Jaroszyńskiego. 1839.

Poezya, zdaniem mojem, jest to wieczne przewidzenie najwyższych form, jakie, czy na ziemi czy

na niebie, przybiorą kiedyś realne życie. Gdyby nie była tem, byłaby fikcyą, że zaś tem jest, jest prawdą.

W raju nie było poezyi, w niebie nie będzie poezyi pisanej; poezya śpiewana czy pisana jest to stan przejścia, jest to odwieczny wykrzyk braku, wykrzyk boleści na teraźniejszość, a zarazem hymn wesela na przyszłość. Jest to bóstwo człowieczego ducha, które burzy się wewnątrz niego, nim dostanie się na zewnątrz, nim stanie się krwią jego i ciałem. Zatem wszystkie fale poezyi od początku świata garną się potokiem niewstrzymanym jęków i pieśni ku ostatecznej formie swojej, ku czynności, ku realności anielskiej. I nawet już teraz i dawniej i zawsze nie tylko była poezya śpiewana, ale istniały wśród prozy faktów połyski czynno-poetyczne.

Są chwile w życiu, schwytliwe ręką, uderzalne serca biciem, widoczne oczom, słyszalne uszyma, nigdzie nie pisane, ni drukowane, które nazwać muszę czynem poetycznym, czyli najwznioślejszą formą poezyi, bóstwem życia. Kiedy więc, przeniósłszy mnie na kulę Święto-Petryńską, chciałbyś mnie kusić do oddania pokłonu poezyi, źlebyś uczynił, bo kusiłbyś kusiciela, bo kusiłbyś samą pokusę, któraby wtedy, rozwinąwszy skrzydła, ciebie samego porwała; porywając cię w szpony, możeby harfy twojej w tej chwili połamała strun kilka i zaniosła cię w wiry z ognia, w kłęby z dymu, wśród nie widm smętnych, ale olbrzymich postaci, zlepionych z marzeń w krew i ciała już zmartwychpowstałych, prze-

szłych tam, gdzie każde uderzenie serca jest śpiewem, każda krwi kropla rymem jednym, każden wzrok średniówką, każden uścisk dłoni dytyrambem, a życie całe poematem poematów, bez śladu wielkim, bez chwały boskim, sobą żyjącym, w sobie skończonym i dopełnionym, jak pierścień jaki saturnowy z ognia i złota, zamknięty, ale toczący się wiecznym ruchem i tym ruchem mający w sobie nieskończoność.

L. do Słowackiego. 1840.

Mój ty Konstanty! Żeby nam niegdyś duch jakiś był powiedział, że raz ostatni na długie lata żegnamy się w Błoniu; że przez te lata długie, ty z Prowancyi, ja z gruzów Rzymu do siebie pisywać będziemy; że tyle figur obcych, nieznanych, przejdzie przed naszemi oczy, niektóre w sercach ustrzęgną, niektóre, jak dymy, z serc znów do widnokręgu wrócą, i rozejdą się, słowem, że tak będziemy, jako jesteśmy: o mój Boże, powiedz, byłżebyś uwierzył? Wziąwszy mnie za rękę, nie byłżebyś strząsnął popiół z fajki na czoło tego proroka i rozśmiał się i rzekł: „marzy się jemu“? Patrz, wszystkie rzeczywistości widziane z oddali, prorokowane nim się staną, noszą barwę snów i marzeń. Otóż kiedy ci na przyszłość coś nadzwyczajnego prorokują, kiedy poezya przepowiada ci, że się ludzkość odmieni, że w anielstwo porosną syny ludzkie, pamiętaj, że to marzenie może być kiedyś r z e c z y-

wistością! Marzenie tylko tem różne od Realności, że w jednej chwili Całość chwyta i stawia przed oczy, kiedy Realność tę samą Całość snuje dniem po dniu, nitka po nitce, i zwolna ją przeprowadza, bez skoku do najwyższego szczebla. Poezya o kwadrach księżyca nie wspomina, jedno go zna zawsze pełnym; natura tylko przez kwadry dochodzi do pełni!

L. do Gaszyńskiego. 1840.

Tak, pełno jest smutku na tej ziemi: ale poety powołaniem jest rozedrzeć ów kolor czarny, i za nim posąg Boga — czy ukazać, jeśli już stoi, czy wykuć przeczuciem i wolą, jeśli go dotąd niema.

L. do Słowackiego. 1840.

Nie każdemu być wielkim człowiekiem; wielki człowiek albowiem jest ten, któremu się uda wszystko pogodzić, siebie i zewnętrzne okoliczności zlać w jedną chwałę, w potęgę jedną; ale bohatyrem być można bez zwycięstwa, wśród najopłakańszej przegranej. Poezya ceni wysoko bohatyrów, nie pyta, czy im się udało, czy nie, pyta tylko o to, czy byli dzielnymi; a gdy muszą w pół zawodu, nie dokończywszy dzieła swego, umierać, — skrzydłem ich swojem okrywa i mówi: „Przypomnę was ludziom i ludzie rozpłaczą się nad wami“. Taka różnica poezyi od historyi: w pierwszej jest miłość, w drugiej rozum tylko.

L. do Gaszyńskiego. 1841.

Nie pytaj się czemu, czemu inaczej brzmi ten sam kruszec, gdy naciągnięty i nawiązany do lutni, a inaczej, gdy obrócony w kolej pod parowe powozy? Nie pytaj się, czemu duszy twej miękko położyć się myślą na chmurze, gdy gaz ten sam, z którego wykwita chmura w niebiesiech, tu na ziemi, w skałę czarną i ostrą opadły, strącony, skupiony, rozkroi ci podróżne stopy i własną cię krwią omaże. Od chwili *fiat lux*, o to samo cały się ten planeta pyta; ktoś odpowie mu kiedyś, ale nie dzisiaj jeszcze! Dlatego poezya jest formą najwyższą rzeczywistości świata, jest najwznioślejszym kształtem życia, że różni się w swoich rozwiązywaniach od rozwiązywań codziennych i potocznych: dla niej niema ślamazarnych przeciągań się, nędznych odgrzewań, w niej jest wieczne dopełnianie się, a w żywotach naszych świeckich następne niedopełnianie się! Poezya, gdzie powieje skrzydłem, tam musi albo na obraz ducha świat ludzi urządzić, i wtedy bohater zwycięża; albo musi z pogardą porzucić ten świat głuchy, niemy, ślepy i wrócić do siebie, do domu, do Boga! — wtedy bohater albo idea umiera!

L. do Słowackiego. 1841.

Co za wiek, Julu? Co za świat? Co za kolej zgubna, porywająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiej, ale stokroć głębszej, bo stokroć dalszej do zmartwychwstań nieba, chcę mówić do otchłani

śmieszności! Za dni moich widziałem dzieci ponure, dzikie, jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze Byrońskie i piszczące usteczkami pełnemi mleka: „to piołun“. Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Hiob niegdyś, jak Faust później, i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swojem, a potem idących na starość do św. Pelagii, i głupstwa, brednie, próżnostki same drukujących; orłów, co w słońce patrzyli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. Widziałem za dni moich, acz niedługich, zbłaźnienie wszystkiego, i zaczyna mi smętno być w duchu. Tem się jedynie pocieszam, żem, zda mi się, doszedł ukrytej sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały, bez pracy; kiedy duma, wbrew przeciwnie, jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. Kto dumny ten i pokorny zarazem, a dusza połączona z pokorą, stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory, to próżność; pokora bez dumy to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te władze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się

nie może. Pokora powinna zawsze objawiać się w środkach, a duma w celu. Tem, że duch nigdy nie zadowoli się tem, co uczynił już, tem, że dalej iść pragnie i piękniejszego czynu się dorwać; tem, mówię, pokorę swoję pokazuje, bo ciągle się ma z niższego do Ideału: skąd tęsknota, smętek, czasem zwątpienie. Tem zaś, że dalej stąpa, że karmi się wiarą urzeczywistnienia wkońcu piękna, które pojął, że gardzi wszelką skończonością i poczuwa się do pobratymstwa z nieskończonością, że uznaje się niezwalczonym i wolnym od śmierci, tem jest dumnym i boskim. Lecz nie mógłby takim być, gdyby zarazem nie był ludzkim i pokornym, bo bez pokory duch stanąłby na pierwszem lepszem stanowisku osiągniętem i nazwałby to doskonałością wszystkiego, końcem i dopełnieniem, wiecznością, wielkością, pięknem! i zarazby tem samem okrutnie się zbłaźnił. Zatem bez pokory byłby poliszynelem, bez dumy takżeby się dostał do Bergamu natychmiast, bo padając na ziemię i bijąc czołem o dróg bitych kurz w lecie a błoto w jesieni, w wiecznej fakirowskiej niewzruszoności oznajmiłby sobie samemu, że dalej kroku ujść nie zdoła, i że stworzony jest na zwierzęcia lub roślinę. W naszej epoce brak wszelkiej harmonii między dumą a pokorą, przeszkadza wszelkiej wielkości. Jesteśmy próżnymi, t. j. albo mamy pokory śmiecie bez ognia dumy, albo rośniem w szum dumy, w pianę, w bryzg, w nicość, nie

opierając się na głębi żadnej! Rozbite akordy gubią zawsze ludzi, podnoszą zaś ich tylko pełne i pogodzone: pierwsze są fałszem i piskiem, drugie tylko – muzyką! Otóż my nie w muzyce, ale w fałszu, w kwasie tonów żyjem, i dlatego przepadamy. Patrz tylko, na co wyszli Lamennais, Lamartine, Sandowa w ostatnich płodach? A wszystko przez próżność, przez serwilizm dla ludu lub dla urzędu, przez chętkę poklaseczków teraźniejszości — nie pamiętni o poklasku wieków.

L. do Słowackiego. 1841.

Epopei wieczną wymagalnością, celem ostatecznym jest, takiego pokoju osiągnienie, a osiągiwa się wymierzeniem każdemu sprawiedliwości. Sprawiedliwość zaś na niwach sztuki, zdaje mi się, że to właściwe lice, właściwy życia koloryt, oddany każdemu z tych trupów wielkich, o których ona wspomina.

L. do K. Koźmiana. 1844.

Duch jest Romantykiem dotąd, więc w nim klasycznego nie szukaj zaokrąglenia. Kiedyś przyjdzie cbwila, gdzie forma klasyczna przypadnie do treści olbrzymiej jego, ta chwila będzie początkiem żywota wiecznego w naturze. Kwiat np. jest klasycznością, zwierzę przejściem jej do poezyi średniowiecznej, duch ludzki nakształt Dantejskiej, Szekspirowskiej potęgi. Żywot kiedyś wieczny, po rozwiązaniu losów człowieczeństwa, pogodzi Klasycyzm z Romantycz-

nością! Wszystko to najtrudniejsze. Doskonałemi są tylko dwa bieguny: martwe ciało w kształcie swym, lub duch najwznioślejszy w życiu swem! Co między niemi, co między niedopełnią a spełnią, to wszystko wciąż tęskni, żąda, domaga się, rusza, pracuje, burzy się, wre, kipi, stara, — słowem — żyje, nie może więc nosić na rysach swych owego bożego spokoju greckich bogów! owego znamienia, że *absolutum est!*

L. do Gaszyńskiego. 1847.

O LUDZIACH I DZIEŁACH.

A cóż Pasek? Nieprawdaż, że jedyny, wyborny, polski szlachcic w całem znaczeniu. Gdybyśmy więcej takich Pasków mieli, mielibyśmy oryginalną literaturę, różną od wszystkich europejskich.

L. do Sołtana. 1837.

Na jednym z miłych wieczorów genewskich zaszczyciłeś mię, Szanowny Panie, żądaniem poznajomienia czytelników „Biblioteki Uniwersalnej“ ze stanem dzisiejszym literatury narodu, którego ostatni bohater umarł na łonie Helwecyi. Uważam sobie za obowiązek spełnić życzenia Pańskie. Jeżeli podejmuję się tego zadania, przechodzącego moją zdolność i trudnego dla braku książek pod ręką, jeżeli się podejmuję, to przedewszystkiem, by dać dowód szacunku i uwielbienia, jakie żywię dla Ciebie, Szanowny Panie, i dla Twojego talentu.

Był czas, że Polska miała tyle piór, zdolnych rozprzestrzenić po świecie jej chwałę i jej światło, ile miała pałaszy, wyciągniętych z pochew na obronę jej ziemi, bronionej zawsze przez Polaków do ostat-

niego tchu. Kwitły wówczas nauki i sztuki w naszej ojczyźnie, a wielcy podtrzymywali wysiłki, dążące do zwiększenia cywilizacyi kraju.

W piętnastem i szesnastem stuleciu Polska, nie waham się powiedzieć, była najbardziej oświeconym narodem w Europie, wyłączając oczywiście Włochy, których uczeni pospieszali na dwór naszych władców, by znajdywać tam protekcyę i hojność. Jeden z największych naszych monarchów, Zygmunt I. pojął za małżonkę Bonę Medyolańską, był to sygnał, który zawezwał do Polski dobry smak i wytworność włoską. Panowanie Zygmunta I. było złotym wiekiem naszej literatury. Język polski niezaprzeczenie jest najlepiej ukształtowanym i najbardziej doskonałym ze wszystkich języków słowiańskich. Podatny dla wyrażenia wielkiej energii a zarazem i wielkiej miękkości. Ale jego najwydatniejszy charakter tkwi w powadze i majestatyczności. Łacina, która niegdyś zajmowała u nas miejsce języka francuskiego, oraz greczyzna były pierwszymi typami, na jakich się język polski formował. To daje wyobrażenie o smaku naszych pisarzy i o formie naszego rządu, który rad upodobniał się do republik Helleńskich i do Wiecznego Miasta.

Nie mam potrzeby przypominać, że sławny Kopernik, który ruszył ziemię, a wstrzymał słońce, był Polakiem, że pierwszy traktat z dziedziny optyki, jaki się pojawił w Europie, napisał akademik krakowski, Ciołek.

W epoce, kiedy wszystkie języki przeżywały jeszcze swoje dziecięctwo, mieliśmy już sławnego poetę, Kochanowskiego, który do dziś dnia wzbudza nasz podziw, zarówno swoim geniuszem, jak i nieskazitelnością polszczyzny. Szekspir w Anglii pojawił się znacznie po nim, a we Francyi w jego czasie, pisano wiersze językiem, mało ponętnym dla dzisiejszego ucha. Nie przestajemy też ubolewać, że nasi pisarze nie zawsze szli drogą, utorowaną przez Nestora poetów polskich. Chętniej zwracano się do łaciny i wielu z naszych wielkich pisarzy wolało język Wergilego, niż swój własny, chociaż polszczyzna już wówczas nie ustępowała w niczem temu językowi, którym Cezar dyktował prawa całemu światu.

Szkicując lekko dzieje tamtych czasów, przypomnę tylko, że jeden z naszych poetów, nieśmiertelny Sarbiewski dorównywał prawie Horacemu w swoich odach łacińskich, według sądu współczesnych, sądu, który potwierdziła potomność.

W późniejszych czasach straszne wojny, napady, połączone z anarchią, prawie nieustanną, powołały wszystkich, którzy mieli miano Polaka, do obrony Ojczyzny i dźwięki liry przepadały w szczęku oręża.

. . . .

. . . .

. . . .

Rozumie Pan dobrze, że taki stan rzeczy nie był podatnym dla cywilizacyi i dla piśmiennictwa. Mimo

to, wielcy krasomówcy umieli jeszcze i wówczas wypowiedzieć piękną mowę i pokryci nieraz krwią wrogów wypowiadali się ze spokojem i darem oratorskim o środkach obrony tej ziemi, w której spoczywały prochy ich przodków.

Dodać tu trzeba o jednym jeszcze najściu, które było fatalne dla oświaty i rozwoju talentów w Polsce. Było to wtargnięcie Jezuitów, którzy przez długi czas kierowali sumieniem naszych monarchów i wychowaniem ich poddanych. Pedantyzm scholastyczny, przez nich zaprowadzony, zwarzył wszystkie kwiaty, które mogłyby rosnąć na glebie polskiej.

Chciwi władzy i wielkości, opanowali szkolnictwo w całej Polsce. Ich łacina, pełna barbaryi i wyrazów alegorycznych, stała się naogół językiem mieszkańców. Dodawano do niej, to prawda, dość polszczyzny, ale mieszanina ta szpeciła tylko jeden i drugi język; wpływało to na zniżkę, że się tak wyrazimy, literatury naszej i na zepsucie naszej mowy.

Podszywano pod styl dawnych poetów mowę nadętą i pełną metafor. Emfaza zastąpiła wzniosłość, którą chciano sztucznie stworzyć cytatami; było w tem wiele erudycyi, ale ni krzty poezyi.

Czasem błyskawica jasności przetnie na niebie najposępniejsze chmury; bywa czasami, że najwięksi geniusze wychodzą z mroku swoich czasów. Nadmieniałem już, że krasomówstwo było zjawiskiem częstem w Polsce. Mieliśmy też jezuitę, nazwiskiem Skarga, który z wysokości swej kazalnicy grzmiał

przeciw namiętnościom i bezprawiom świata ze wspaniałością, godną Bossuet'a. Mieliśmy wojowników, którzy wypowiadali przemowy nieopracowane, a godne pamięci potomnej; nasze Sejmy były widownią, gdzie się rozprzestrzeniały wielkie dary słowa. Cywilizacya i oświata w Polsce nie zagasła ani na chwilę, tak doszczętnie, jak to miała miejsce w Rosyi wówczas, gdy jej książęta musieli co roku uginać kolano i kłaść swą koronę u stóp chanów tatarskich.

. . . .

. . . .

Siedmnasty i ośmnasty wiek przechodzą w Polsce pośród nieprzerwanych wojen. Chwała wybawienia Wiednia i chrześcijaństwa była tylko blaskiem chwili, błyskawicą, która zajaśniała na to, by zgasnąć; ciemności niewiedzy i pedantyzmu, zaciążywszy nad naszym krajem, przeznaczyły ją, zdawało się, do wymazania z szeregu moralnego narodów.

Było to jednak przeznaczeniem Polski, by odnalazła swoje istnienie duchowe i literackie w chwili, gdy traciła niepodległość polityczną; wchodziliśmy do trumny pod wtór natchnień historyka i śpiewu patryotycznego poety. Ostatni nasz król, Stanisław August Poniatowski był uczonym i człowiekiem umysłu: byłby szczęśliwy, gdyby stopa jego nie była nigdy dotknęła tronu, byłby znakomitym władcą, gdyby nie trzeba było rządzić. Czując chwiejącą się koronę na swem czole i berło niemal wypadające

z dłoni, zapragnął zdobyć w przyszłości choć jeden tytuł do wdzięczności i uczynił wszelkie możliwe wysiłki, aby wspomagać piśmiennictwo i zaszczepiać smak do wiedzy: to był jedyny jego czyn, który go nie zawiódł w ciągu jego królowania.

. . . . , ...

Założył mnóstwo szkół i jego panowanie widziało naprzemian odrodzenie się piśmiennictwa i unicestwienie ojczyzny.

Utworzyło się w Warszawie towarzystwo literackie, utworzone z ludzi sławnych i wybranych, którzy sobie wzięli za powinność oczyścić nasz język i oddać go nienaruszonym w ręce potomności, jako jedyny spadek kraju, który wykreślono z listy państw. Teraz niech mi wolno będzie wejść w kilka szczegółów, aby zapoznać Pana z wielkimi ludźmi, żyjącymi za Stanisława Augusta.

Na pierwszem miejscu muszę postawić biskupa Krasickiego, autora bajek, satyr i poematów. Najudatniejszym jego rodzajem był komizm. Jego poezya jest jedną z najbardziej lekkich i wytwornych, jakie można czytać. W epoce, kiedy każde serce polskie było bez reszty oddane ojczyźnie, a każde ucho wsłuchane w ostatnie tchnienie, jakie wydawała macierz wspólna na łożu śmierci i chwały równocześnie — w epoce tej nie dziwnem jest, że nawet pośród bajek Krasickiego znajdujemy wiersze pełne patryotyzmu, godne wejść do najwznioślejszego rodzaju poezyi. Pozwoli mi Pan, zacytować

strofę tego autora, która się znajduje w jednym z jego satyrycznych poematów, a która jednak zawiera wspaniałe uczucie. Mój słaby przekład nie odda Panu niewątpliwie piękności oryginału, ale postaram się przynajmniej dać Panu wyobrażenie o jednym z naszych najbardziej uroczych i najbardziej subtelnych pisarzy:

„Saint amour d'une patrie adorée, tu n'es connu que des coeurs nobles. Tu rends douce la coupe remplie de poisons. — Tu éloignes la honte des fers et de l'échafaud. — Tu embellis les blessures par de nobles cicatrices. — Toi seul tu donnes à l'âme les vrais plaisirs, et quand on peut secourir son pays ou aider sa patrie, on ne regrette plus de vivre dans la misère et de mourir dans les tourments". *)

Bajki tego poety pełne są szczęśliwych dowcipów. W niektórych naśladuje La Fontaine'a. W większości zaś jest najzupełniej niezależny. Pisał również prozą opowiadania, ujmujące prawdą obyczajów, które też zawsze sprawiają nam rozkosz.

Powiem teraz o drugim naszym poecie, Trembeckim; który był przyjacielem Bouflers'a i znał się z Rousseau'm i Voltaire'm. Całe jego życie było pasmem wydarzeń romantycznych, w których west-

---

*) Krasickiego: „Święta miłości kochanej ojczyzny" itd. Pozostawiamy umyślnie ustęp ten w języku francuskim, jako próbę przekładu Krasińskiego.

chnienia i pojedynki grają główną rolę. Obdarzony wielką łatwościa pióra, zdołał stworzyć prawie że nowy język poetycki. Znaleźć można w jego mowie energię właściwą duchowi polszczyzny i wiersze tak harmonijne, jak pieśni Rzymu i Grecyi. Umie na zawołanie władać całą sprężystością języka, wyrażenia i słowa nabierają w jego głosie nowego życia i siły przed nim nieznanej. Napisał wiele ód, dytyrambów, i utworów ulotnych, zastosowanych do okoliczności bieżących. Jego arcydziełem jest poemat: *Zofiówka*, który powziął za cel opiewać ogród hrabiny Zofii Potockiej. Poemat ten był tłumaczony na język francuski, ale przekład ten tak przypomina oryginał, jak światło umierającego wieczora przypomina pociski promienne słońca, gdy ono stoi w całej chwale południa.

Karpińskiemu daleko do tej energii, która charakteryzuje Trembeckiego, ale w Karpińskim jest niewypowiedziana rzewność i słodycz, chwytająca za serce.

Czytając jego wiersze, ma się wrażenie, że się jest nad brzegiem strumyka, którego szmer przyzywa do marzeń i nie sposób jest nie uczuć łzy na powiece, gdy się ma w ręku jego utwory.

Dmochowski dał nam przekład *Iliady*, tak spowinowacony z wielkim Homerem, że często porównując oryginał z tłumaczeniem, wpada się w wątpliwość, który z nich jest pierwowzorem. Ten sam autor tłumaczył również *Eneidę* i *Raj utracony*. Pisał

prozą dzieła, odnoszące się do nieszczęsnego położenia jego ojczyzny, w których entuzyam patryoty łączy się z siłą argumentacyi i pięknością stylu.

Wówczas gdy wszystko już przepowiadało, że ma się pod koniec Polsce, znalazł się człowiek obdarzony niewyczerpaną pracowitością i wielkim talentem, który powziął myśl napisania historyi Polski. Zachęcony przez Stanisława Augusta, poświęcił swe bezsenne noce dla odtworzenia pamięci narodu, który szedł w gaśnięcie. Na nieszczęście dla nas, ksiądz Naruszewicz miał czas jedynie na nakreślenie pierwszych wieków naszej historyi. Miano, jakie mu dano: Tacyt polski — da Panu wyobrażenie o stopniu jego zalet. Winni jesteśmy temu samemu autorowi tłumaczenie całkowite Horacego i kilku ód Pindara. Resztę historyi Polski przekazał staraniom Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, którego każdy członek podjął się napisać dzieje poszczególnego panowania. Mamy nadzieję, że rychło skończone będzie to olbrzymie przedsięwzięcie, albowiem połowa pracy jest już ukończona.

Kniaźnin jest jeszcze jednym z poetów epoki Stanisława Augusta. Jego wiersze nie mają energii Trembeckiego, wdzięku Karpińskiego, ale odnaleźć w nich można łatwość i subtelność Krasickiego. Nie chcąc pana nużyć długiem wyliczaniem talentów, jaśniejących w chwili odrodzenia naszego piśmiennictwa, przejdę do stanu obecnego literatury w Polsce. Poprzestanę jedynie na nazwisku jeszcze Szymanow-

skiego, który tłómaczeniem Świątyni z Knidos dowiódł, że język nasz jest wrażliwy na wszelki wdzięk i wszelaką delikatność.

. . . .

Dzisiejsi nasi pisarze dzielą się na dwa odłamy: pamiętni panowania jeszcze Stanisława Augusta i urodzeni już po rozbiorze kraju. Zacznę od pierwszych. P. Niemcewicz zajmuje wśród nich naczelne miejsce tak przez swój talent, jak i przez charakter pełen szlachetności. On to był adjutantem Kościuszki, dzielił z nim więzienie petersburskie, a później podążył za nim do Ameryki.

Styl tego autora jest wzruszający i patetyczny, gdy mówi o swoim kraju. Proza jego usiana kwiatami. W jego bajkach z wielką oryginalnością zlewa się dowcip ostry i satyryczny. Napisał dzieje panowania naszego króla Zygmunta III., arcydzieło wymowy. Jego pieśni błyszczą miłością wezbraną ojczyzny. Ostatnio wydał powieść, w której opisy mogą współzawodniczyć z Cooperem. Jego tłómaczenie Pope'a jest wzorem wytworności.

Nie mogę pominąć milczeniem zmarłego niedawno arcybiskupa Woronicza. Jego poemat heroiczny Sybilla poświęcony jest opieśnieniu sławy czasów ubiegłych i nadziei w dni piękniejsze. Odnajdujemy tam całą moc, cały majestat naszych dawnych pisarzy ze złotego wieku naszej literatury, z czasów

Zygmunta I. i jego syna Zygmunta Augusta. Arcydziełem Woronicza jest mowa pogrzebna nad księciem Józefem Poniatowskim. Jest ona taka, że widzimy cienie wszystkich wielkości dawnej Polski, zebrane na głos mowcy i idące wolno wzdłuż brzegów Elstery, której fale unoszą ciało bohatera.

Czuję obowiązek powiedzieć teraz o p. Śniadeckim, który przywrócił całą zaprzepaszczoną czystość językowi naszemu. Astronom i rektor Uniwersytetu wileńskiego zajmował się zawsze przedmiotami poważnymi i naukowymi, umiał jednak najbardziej suchy temat ozdobić swym stylem. Posiadamy jego dysertacye filozoficzne i literackie oraz kilka mów akademickich, wzorów krasomówstwa. Czytając Śniadeckiego, wyobrażamy sobie go, jako uczonego, wyniesionego ponad namiętności natury ludzkiej, okiem spokojnem wpatrzonego w spustoszenia, zniszczenia i nieszczęścia ziemi. Biorąc za przewodnika tylko rozum i prawdę, odrzuca wszelkie ornamentacye stylu i niepewne odcienia, które uważa za niegodne pióra. Majestatyczny w wyrażeniach, surowy w prostocie, stara się przekonać ludzi, że tylko panowanie rozumu i mądrości wiedzie ludzkość do szczęścia. Jego *Życie Kopernika* uznano za dzieło tak piękne, że pospieszono je przełożyć na język angielski. Był to serdeczny przyjaciel d'Alemberta.

Dwie ody na cześć Napoleona stawiają p. Koźmiana w szereg wyszczególniający naszej literatury. Ułożył on na wzór Georgik Wirgilego znakomity po-

emat o życiu wiejskiem w Polsce. Ściśle przestrzegający sztukę poetycką Horacego i zasady starożytnych, nie pozwala sobie na zejście z drogi, wytyczonej przez antyk; trudno jednak po tym szlaku dążyć z większym talentem i trudno być bardziej odeń oryginalnym w tem naśladownictwie. Owidyusz nie miał lepszych od niego opisów.

Pan Osiński, profesor literatury na Uniwersytecie warszawskim, przyciąga tłumy na swój wykład nieporównanej piękności, czaruje słuchaczy krasomowstwem silnem i błyszczącem. Mamy mu do zawdzięczenia trzy ody na cześć Napoleona i tłómaczenie Horacego, mało odbiegające od oryginału. Mamy również jego przekład Cyda; co do wartości tej pracy, co do jej doskonałości wystarczy powiedzieć, że od chwili, gdy się pojawiła, cała Warszawa patrzyła na Rodryga oczyma Ximeny.

Niezbędnem mi się wydaje wtajemniczyć Pana w moment wielkiej rewolucyi, która przed kilku laty wybuchnęła w naszem piśmiennictwie. Za Stanisława Augusta pisarze francuscy i starożytność byli jedynym autorytetem, którym nasi literaci zaprzysięgali wiarę i posłuszeństwo. Myślano tylko o Wirgilim i Horacym; Horacy i Boileau grali rolę dwóch wielkich władców, których potęgę feudalną respektowało liczne grono wasali, patrzących jak na zbrodnię, jak na zdradę, gdy kto walczył pod innym sztandarem. Od pewnego jednak czasu młodzież nasza wzięła się do czytania dzieł szkoły romantycz-

nej, akordy Szyllera i Byrona uderzały w serca. Język niemiecki i angielski rozpowszechnił się w Polsce. Przekonano się, że geniusz natury ludzkiej nie wyczerpał się, że można przecie powiedzieć coś pięknie, choć to nie będzie wtórem poetów greckich, łacińskich i francuskich. Ale podczas, gdy jeden odłam narodu postępował naprzód w odkrywaniu dziedzin, dotychczas nieznanych i rwał się zapalenie, z entuzyazmem — ku tym świeżo dla wyobraźni otwartym regionom piękna i wzniosłości, — pozostało jednak wiele wielkich talentów, którzy zamknęli oczy na światło i pozostali oparci na chwiejących się ruinach szkoły klasycznej; z tego powstała straszna wojna, której wynikiem mogło być tylko wzmożenie oświaty i kultury na gromady spokojnych widzów, bo, jak Pan przyzna, błyskawice geniuszu krzesane są zawsze zderzeniem się wielkich umysłów. Szkoła romantyczna wzięła rychło przewagę widoczną, dzięki swojej nowotności i dzięki trwałym wysiłkom, prawie zawsze uwieńczonych powodzeniem.

Naczelnym wśród naszych poetów romantycznych jest bez zaprzeczenia p. Mickiewicz, którego dzieła drukowano przed dwoma laty w Paryżu i którego wiele ballad przetłómaczono do zbioru *Polish Anthology*, nie dawno wydanego w Londynie. Pełen ognia i tego entuzyazmu, który tak właściwy jest wiośnie życia, bierze czasami lot podniebny i unosząc się ponad ziemią, wzbudza zachwyt i podziw

dla swej śmiałości. Ikar to pędzący w słońce, tylko że nie mdleją jego skrzydła, przeciwnie: tem bardziej rozwinięte, im od ziemi dalej. Jego myśli uderzające są, czasami wspaniałe. Karmiony Szekspirem i Byronem, daleki jest od naśladowania ich służebnego. Umie przeciąć sobie drogę, na której niczyja stopa przed nim nie stanęła i zachowuje sobie honor pierwszeństwa. Nikt mu nie sprosta, gdy opisuje katusze miłości zdradzonej, straconej nadziei; człowiek czuje się porwanym w odmęt, który cię unosi i narzuca na spokój swojej duszy, niepokój rozpaczy. W balladach znów pełen jest naiwności i wdzięku. Jego sonety godne są kochanka Laury[1]), przenoszą w marzenie o szmerze fontanny de Vaucluse. Opisy Mickiewicza błyszczące są i świetne, ale niema w nich nic z miękkości i lubieżnej słodyczy: czego dotknie, to przeistacza się w wielkość i majestat. Pod względem też języka, wiersze jego arcyharmonijne, energiczne i polskie, w całem słowa pojęciu, to znaczy, że mają ten swoisty rumieniec siły i powagi, który stanowi ducha naszej mowy. Czytając jego wiersze, widzi się monarchę ujarzmiającego niewolników, słowo niewolnie idzie pod jego pióro, z największą łatwością gnie wyrażenia w powzięty kształt myśli. Napisał dwa poematy w typie byronicznym; pozwoli mi Pan zacytować kilka wierszy jednego z nich, jedyne, jakie umiem na pamięć.

[1]) Petrarka.

Wajdelota to, czyli bard litewski opłakuje kraj swój, pokonany przez rycerzy Zakonu Krzyżowego:

„Comme au son de la trompette de l'archange qui, au jour du jugement, fera renaître les âges passés, ainsi, aux accents de mes chants, les cendres que foulaient mes pieds se ranimèrent et grandirent en formes gigantesques. Des colonnes et des portiques s'élèvent du milieu des ruines. Les lacs déserts résonnent du bruit cadencé des rames. Je vois s'ouvrir les portes de magnifiques châteaux. J'aperçois des couronnes et des armures chevaleresques. Aux chants des bardes se mêle le bruit léger de la danse des vierges.

„Ah! c'était un rêve divin: mais le réveil fut bien cruel. Les forêts et les montagnes de mon pays disparurent à mes yeux. Les ailes de ma pensée s'abattirent de fatigue et cherchèrent le repos dans l'asile de la tranquillité. Au milieu des gémissements déchirants de mes campatriotes, la lyre devint muette dans mes mains glacées. Souvent même je ne puis entendre la voix du passé. Mais parfois, pourtant, les étincelles d'enthousiasme qui sont restées au fond de ma poitrine y excitent des flammes, donnent une nouvelle vie à mon esprit et éclairent ma mémoire. Alors la mémoire est comme une lampe de cristal que le pinceau a ornée de vives couleurs. Quoique couverte de poussière et de taches, si vous allumez un flambeau dans son sein, elle attirera encore les yeux par la fraîcheur

de ses nuances, et tapissera les murs des palais de vifs reflets de lumière. Ah! si je pouvais verser les torrents de feux qui m'embrassent dans le sein de ceux qui m'entendent! Si je pouvais, ranimant le passé qui n'est plus, adresser à mes frères des vers harmonieux! peut-être que dans le moment où un chant national les attendrirait, ils pourraient encore sentir leurs coeurs battre comme naguère; ils pourraient encore comprendre la grandeur des âmes d'autrefois, et vivre un seul instant de la vie sublime qui animait leurs ancêtres".

Generał Morawski szuka wytchnienia po trudach życia wojennego w poświęceniu poezyi wolnych swych chwil. Jego bajki zajmują oryginalnością. Mowa, jaką wypowiedział po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, będzie podziwiana po wsze czasy, tak dla czystości stylu, jak i dla wielkości myśli. Pisarz ten, pokryty wawrzynami Marsa i Apolina, pozostał bezstronnym w walce klasyków z romantykami. Jego zasadą jest podziwiać wszystko, co na uwielbienie zasługuje. Mamy jego tłómaczenie Andromaki, nad którem pracował piętnaście lat i które odpowiedziało najzupełniej oczekiwaniom społeczeństwa, które pragnęło widzieć jeden wielki talent oddany przez drugi.

P. Wężyk dał naszemu teatrowi kilka tragedyj i napisał poemat o okolicach Krakowa. W pierwszych dał dowód wielkiej wyrazistości — w poemacie wykazał łatwość w dawaniu opisów.

P. Odyniec podążył drogą Mickiewicza. Coś słodkiego i zmysłowego odróżnia jego wiersze od poezyi Mickiewicza. Ballady jego są interesujące i bogate w wyobraźnię. Nie mogę uczynić dlań większej pochwały, jak zaznaczając tylko, że godny jest swoich mistrzów, których studyuje: Goethego i Bürgera.

Mamy tragedyę, jedyne dzieło człowieka, którego śmierć oderwała przedwcześnie od naszych uwielbień, jest to *Barbara Radziwiłłówna*, piękna i nieszczęśliwa Marya Stuart naszych dziejów. Zajmujący ten temat nabrał jeszcze ozdoby pod piórem Felińskiego. Jest to najbardziej skończony utwór z naszej literatury dramatycznej. Nie można dalej pójść w wytworności i doskonałości rytmu i być równocześnie bardziej zrównoważonym. Geniusz dawnej Polski unosił się snać nad pisarzem w godzinę tworzenia tego arcydzieła, bo każdy wiersz dyszy tu duchem naszych obyczajów i naszego charakteru.

Jeden z najznakomitszych naszych profesorów, p. Brodziński, był pierwszym z poetów, który wprowadził do Polski poezyę szczerze narodową, nie należąc ani do szkoły klasycznej ani romantycznej. Piękna swoją prostotą, poezya ta jest słodka i melancholijna. Czytelnik pozostaje pod nieodpartym wpływem jej czaru. Nie głośne namiętności porywają w niej, nie dreszcz ponurych zbrodni, czy wzburzających okropności. Ciemność i posępność odbiegają daleko od pióra Brodzińskiego: ale miła

marzycielskość ogarnia czytelnika. Utwory jego wprowadzają w krąg bohaterów, zmarłych dla ojczyzny. Wieczysta wiosna jaśnieje na ich czołach. Szczęśliwi są, że zdobyli nieśmiertelność poświęceniem życia, przelaniem swej krwi za umiłowaną ziemię. Słyszy się ostatnie dźwięki ich zwycięskiego hymnu. Cicha harmonia wieczornego wietrzyku. Westchnienia miłości, niepokój nadziei, nie krzyk skazańca, nie trwoga rozpaczy, nie konwulsye wściekłości.

P. Zaleski zebrał pieśni i legendy ludowe, by je okrasić stylem pełnym śmiałości, który udowodnił w zupełności przysłowie: *audaces fortuna juvat.* Jego malowidła są czasem ponure i straszne. Rozkochał się w podmuchach huraganu, który wieje po stepie Ukraińskim i w krakaniu ptaków łupieżców nad trupami.

P. Fredro zasłynął wieloma świetnemi komedyami obyczajowemi. Ma swój odrębny ton. Każda jego sztuka wprowadza kilka postaci śmiesznych, którzy w akcyi urozmaicają zabawnie i dowcipnie; bohaterzy zaś utworu, figury główne, czyli Amanci, zachowują zawsze charakter podniosły i zajmujący. Sceny ich pełne są patosu, wzruszających myśli, najpiękniejszego uczucia miłości i najszlachetniejszego uniesienia patryotycznego, co przykuwa słuchacza do sztuki. Jedna z jego sztuk: *Odludki i poeta,* wywołuje zawsze zapał zwłaszcza w scenie, kiedy młody pisarz oddaje nadzieje i zadanie poety. Z zapałem autora złączony entuzyazm młodości, widzą-

cej już gwiezdny dla się wieniec w niebiosach, jest szczytem w swoim rodzaju tworzenia. Wulkan strzelający płomieniami w lazurowe sklepienie nieśmiertelności.

Nasz Defancoupret, p. Dmochowski, syn sławnego tłómacza I l i a d y, zaznajomił nas ze wszystkimi romansami Walter-Scott'a i z wieloma innemi dziełami zagranicy. P. Kowalski wzbogacił polski teatr przekładem całkowitym Moliera najzupełniej udatnym. Mamy spolszczone prawie wszystkie arcydzieła literatur obcych. Corneille, Racine, Voltaire, Shakespeare, Schiller, Alfieri, Ducis, Delavigne są już uobywatelnieni u nas i nasza publiczność spieszy składać hołd ich sztukom w teatrze, dającym codzienne przedstawienia.

P. Lelewel, nasz Malte-Brun łączy z głęboką erudycyą styl oryginalny i celuje w sztuce malowania obrazów historycznych, gdzie każde słowo jest odcieniem, każdy wyraz kolorytem epoki, w które wciąga czytelnika. Od piętnastu lat cały stos dzieł historycznych i geograficznych urósł pod piórem tego niestrudzonego pisarza. Jego sława przeszła już granice Europy, przedostała się poza morza, jest on członkiem Towarzystwa Naukowego w Kalkucie.

Znaczną mamy liczbę pism peryodycznych, poświęconych nauce, literaturze i przemysłowi. Liczne almanachy, opuszczające rok rocznie drukarnie, zawierają utwory ulotne naszych poetów najbardziej znanych. Wszyscy piszą, starają się doskonalić, ka-

żdy w swoim kierunku; młodzież poświęca się muzom i utrwala w wierszach pamięć o narodzie, któremu została tylko literatura i język. Nie mogę się oprzeć, by nie przytoczyć tutaj choć jednego z tych młodych nazwisk, który daje jak najlepsze obietnice talentu. P. Gaszyński, dwudziestoletni poeta, dał się już poznać licznymi szkicami; jego ton przypomina wielkiego poetę irlandzkiego, Moore'a. Uderza tą samą delikatnością myśli i tą samą wspaniałością wysłowienia się. Sypie szczodrze kwiatami i klejnotami. Słychać w jego utworach spiew słowika, ukrytego w krzewie róż. Nie pogniewa się Pan, gdy przytoczę tłómaczenie jednego z jego utworów:

La Larme, la Goutte de rosée et le Zéphir.

Près d' une goutte de rosée une larme s'échappa sur le tombeau où une infortunée mortelle, belle comme un ange descendu des régions célestes venait tous les matins pleurer son amant. Le soleil élevant son disque d'or, réfléchissait ses rayons sur la larme et la rosée, mais en faisant paraître plus brillante la goutte échappée des tresses de l' Aurore. La rosée, fière de son éclat, dit à sa compagne: „Comment oses-tu t'approcher de nous, toi, solitaire et sans éclat?" La douce larme ne répondit rien. Cependant le zéphir qui folâtrait en ces lieux, arrêtant son vol près de la tombe, recueillit la larme de la beauté, et laissa la rosée brillante, préférant cent fois la larme à tous les diamants de la prairie.

Pozostaje mi tylko wspomnieć o naszych powieściopisarzach. P. Bronikowski pisze po niemiecku, by rozpowszechnić w Europie chwałę imienia polskiego; zna on historyę swego kraju, jak Walter Scott znał dzieje Szkocyi. Wiele z jego dzieł przetłómaczono na język francuski i zna je Pan zapewne.

P. Bernatowicz napisał dotąd trzy powieści, które obiecują po nim wiele i mogą współzawodniczyć w zainteresowaniu z powieściami autora *Ivanhoë*.

Mamy wielką jeszcze liczbę dzieł z tego działu, który rośnie z roku na rok. Jest to rzecz podziwu godna, jak naród, który tyle przeszedł i przecierpiał, zdobywa się na literaturę tak piękną i dojrzałą.

. . . .

Artykuł w „Bibliothèque Universelle". R. 1830.

Niemcewicz ciągnął długie swoje życie, jak się ciągnie łańcuch o ciężkich ogniwach, od lasów Ameryki po polskie równiny; wszędzie natrafiał na sławę i na cierpienie. Jest on dostojnie satyryczny, to też jego nadzieje, kładzione we mnie, mogą być poprostu ironią, gorzką drwiną.

L. do Reeve'a. 1831.

Przyznaję prawdę całą: zrazu z uprzedzeniem, dalej z zajęciem, później z rosnącem uwielbieniem, wreszcie z miłością słuchałem i czytałem *Czarnieckiego*. Bo miłość, to stosunek ducha do piękności, a *Czarniecki* pięknym jest. Oto pół wra-

żenia. Teraz, jeżeli pozwolisz, łaskawy panie, wspomnę o niektórych szczegółach, i całość ukochawszy, dlatego właśnie, że ją kocham, drobnostkom pewnym, ją nadwyrężającym, opierać się będą.

Ani myślę sprzeciwiać się zdaniu czcigodnego pana, że w naszej rzeczypospolitej, rzymska i chrześciańska cnota, rzymskie i chrześcijańskie wyobrażenia harmonijnie się zespoliły. Oryginalność nawet charakteru polskiego wyniknęła z zawarcia w sobie, zgodnego i niewymuszonego, dwóch tych różnorodnych światów, ku pojednaniu i zespoleniu których dopiero teraz reszta europejskiego świata dąży! Ale racz uważać, że każdy Polak, ni sztucznie, ni matematycznie, dodając jeden do drugiego, te dwa pierwiastki w sobie mieścił, ale żywotnie! Był jako Rzymianin, był jako chrześcianin, ale nadewszystko był Polakiem, tak, że w nim rozdzielić się nie dadzą te składowe części, ale muszą żyć przepojone sobą; jak żyją w trzeciem ciele dwa inne, co je chemicznie złożyły, stały się niem, nie są już sobą, a jednak owe trzecie tylko z nich się składa. Dlatego Czarniecki choć miał Godfryda w sobie, nie był Godfrydem, choć Scypiona, nie był Scypionem, ale czemsiś trzeciem, inszem, zwanem duszą żywą Stefana Czarnieckiego, duszą polską! Ztąd to wynikła krytyka moja ostatnich o nim wierszy, przesłanych w liście do Jędrzeja. Przecudne jest jako effekt i jako prawda, zdaniem mojem, zaprzeczenie, którem wieszcz odrzuca Achillesa i Hektora, wprzód

postawiwszy ich posągi za miary Czarnieckiemu; ale podobnie powinien uczynić z Godfrydem i Tankredem, i ich postawić na chwilkę, ich też obalić a dopiero wtedy zawołać:

To on, to szlachcic polski, wódz sarmackich wieków[1]).

Gdybym śmiał ręczyć, tobym ręczył, że w tem uczuciu mojem jest prawda, że w tem pojęciu Czarnieckiego jest życie, że on właśnie tem, nie czem innem był na ziemi, i że mu takie zostawić lice, jest na nowo go stworzyć. Zresztą spostrzeżenia względem tego miejsca, rozciągnąłbym do całego poematu, do całości Polski, która w tej epopei objawić się i odsłonić powinna.

Wcale więc a wcale nie sprzeciwiam się wspominaniu Rzymian i Greków, jednak sądzę, że raczej osoby mówiące w epopei ich wspominać powinny,

---

[1]) Uwaga ta stosuje się do następujących wierszy z pieśni III. od 87 do 92.

Lecz sam Czarniecki włada stolicy odporem,
On Polski Achillesem, Krakowa Hektorem.
Ale precz bohatery dawnych Rzymian, Greków,
To jest wódz, to bohater chrześcijańskich wieków
Nie strwożony gromami, bo przed grzmiącym spiżem,
Zasłania się zarówno orężem, jak krzyżem.

Pierwiastkowo autor po odrzuceniu porównania z Achillesem i Hektorem, z Godfrydem i Tankredem porównał wodza polskiego. Idąc za radą trafnej krytyki, wypuścił wiersz mieszczący to zbliżenie.

niż sam wieszcz, bo osób tych to było obyczajem. Wieszcz zaś obyczaju swego własnego w epopei mieć nie może, jedno całkowite życie epoki; jej lice, schwytane we właściwej barwie, jego obyczajem. Jak Stwórca, wyższym on być powinien od stworzonych i pojmować ich wszystkich razem i ich wszystkość całą; kiedy oni, to jest każdy z nich, tylko siebie pojmuje. Z tego stanowiska właśnie krytykując, pyszną mi się wydała rozmowa między królem szwedzkim i Wąsowiczem; obie strony mówią, każda swoje [1]), a ponad nimi znać wtedy ich stwórcę, który jest *sine ira et studio* jako sama prawda.

L. do K. Koźmiana. 1844.

Nie myśl, ni mniemaj ukochany panie, że głosu twego nie pojmą późne potomki. Owszem, tak zawsze się dzieje, że poezya tylko, jedna li tylko zachowuje potomkom upłynione przodków życie. Ona ciągle wieszczy w obie strony, w oba kierunki czasu zwane przeszłością i przyszłością; nadawa żywot, barwę, ruch, zmartwychwstanie, temu, czego już niema, i też przedwstępny kształt temu, czego niema jeszcze. W tem jej istota, zasługa, prawda, tem ona wieczną panią ideału i zbawczynią serc znękanych prozą obecności (bo jużci obecność zawsze srogą, suchą, niewdzięczną i okrutną prozą jest na ziemi),

---

[1]) Słowa te odnoszą się do ustępu z pieśni IV. od wiersza 87 do 130.

że tym sercom udziela wspomnień i nadziei, że im z jednej strony każe patrzeć w twarze naddziadów, z drugiej w anielskie postaci gdzieś, kiedyś, później mające się rozwinąć, czy na tym świecie tu, czy w wszechświecie, w rajach jakichsiś. Więc nie zrażaj się, drogi panie, żadną okropnością przetworzeń i zgonów i przemian.

Jak zbawca właśnie umierających i pomarłych, daj im te kształty, użycz im tej potęgi zachowawczej, która ma ich ocalić dla potomności, która już z nich, nie będących przed oczyma cielesnemi, ma wydłutować posągi wieczne, wszechobecne oczom duchownym ludzi przyszłych. Wtedy właśnie to, co kochasz, w czemś się rozmiłował, wieki owe, któreś przytulił do wieszczego serca, by nie spadły w otchłań zapomnienia, odejmiesz grożącemu im niebezpieczeństwu nadchodzącej na nie śmierci, odświeżysz je, poczynisz z nich jakoby krew wiecznie młodą, lejącą się z dźwiękiem rytmowym w piersi niemowląt dziś nieurodzonych, i będziesz jak matka, opiekunka, karmił przyszłe pokolenia tem, co było świętego i wzniosłego w przeminionych czasach. Nie inaczej dni, co zaginęły, łączą się z dniami, co nadejdą. Historya sama, nie tak żywotnie, jak poezya, ten przelew jednych w drugie ułatwia i utrzymuje. Po przeczytaniu Iliady, grecka epoka pierwiastkowa wrzyna się na wieki w umysł czytelnika, sama iścizna jej życia tam pozostaje.

Po przeczytaniu Danta, cały człowiek się uśre-

dniowiecznia i daleko prawdziwiej, głębiej, żywotniej, niż gdyby tysiące kronik średniowiecznych przeczytał. Poezya bowiem w tem jest świętą i niebieskiej niejako, boskiej powagi rzeczą, że na podobieństwo sądów Bożych to tylko zachowuje z epok miniętych, lub przepowiada z nienadeszłych jeszcze, to tylko, co istotnie wzniosłem, dobrem, prawdziwem w nich było lub być ma. To właśnie stanowi, co zowiem jej pięknością, ideałem. Brud i kał odrzucon jest, błoto towarzyszące wszelkiej teraźniejszości, tu nie wala nas. To tylko żyje i zachowanem bywa, co życia godnem, co istotnie do okręgów wiecznego żywota, z natury swej szlachetnej należy. Można o każdej epoce, tak zachowanej przy życiu przez wielkich wieszczów, wyrzec, co jakiś przeor napisał na grobie Abelardowi: *Praeterit non periit, transivit ad Esse;* do tego prawdziwego *Esse,* które nie podlega już żadnym losu ironiom ni przypadkowościom Fortuny.

L. do K. Koźmiana. 1846.

Pan Tadeusz jest Epopeą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym, jak Don Quichotte, jak Poliszynel we Włoszech.

L. do Gaszyńskiego. 1833.

Odczytałem niedawno Pana Tadeusza, to epopea! Znam trzy epopee wielkie: Iliadę, Don Kiszota

i Pana Tadeusza, który jest środkującym zlewkiem Odyssei i Don Kiszotta.

L. do Gaszyńskiego. 1840.

Im bardziej zapatruję się na literaturę polską, tem bardziej się przekonywam, że w równi się trzyma co do poezyi z resztą Europy. Żaden europejski lud dziś niema takiej epopei, jak Pan Tadeusz. Odczytałem go niedawno. Don Kiszott tam się zlał z Iliadą. Poeta stał na przesmyku między znikającem tem plemieniem ludzi, a między nami; nim umarli, widział ich, a teraz ich już niema. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku: to plemie umarłe uwiecznił, ono już nie zaginie. Temu lat sześć, czytając Pana Tadeusza, nie pojmowałem całej jego wielkości, dziś biję czołem i mówię: to jest epopea. Więcej powiedzieć ni można ni potrzeba.

L. do Załuskiego. 1840.

Mickiewicz już odszedł od nas. Na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem i żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat.

Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc tylu żywych i krwawych; filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam, a teraz dołamał się i runął w przepaść. I całe

sklepienie ono zadrżeć musi i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem Największy wieszcz nietylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje.

L. do Sołtana. 1855.

Jest tu Juliusz Słowacki, miły człowiek, ogromem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. Kordyan jest poematem zapału, szaleństwa, są w nim pyszne położenia i trafne pojęcia. Marya Stuart jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwymi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Mów, co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie. Ja w tych cza-

sach kilka wierszy napisałem, pierwsze w życiu mojem; przesyłam je pod sąd twój.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Słowacki jest w Egipcie. Boję się o zdrowie Juliusza bo nie długowieczny a tam, a tam łatwa śmierć, tak jak łatwe życie. Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w Byronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt, rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność osobistą; słowem są to siły ogromne duchowne, ale nie ludzie. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Czy czytałeś nowy poemat Słowackiego „Anhelli“? Piękne to dzieło, z wielką sztuką wypracowane: styl przejrzysty, spokojny, kryształowy, myśl

jest prawdziwa. Anhelli, to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach. a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli taki, samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia. Naprzód to, co Boga ma w sobie, to co najwznioślejsze, entuzyazm, prawda, miłość wielkich rzeczy pod postacią proroka Szamana umiera. Zostaje się jeszcze Anhellemu jakaś osłoda ludzka, pokutnica, siostra Ellenai. Ale człowiek taki, nawet pociechy ludzkiej długo mieć przy sobie nie może ; umiera i siostra. Ta śmierć jej, po mistrzowsku, z boską prostotą opisana. Sam już teraz, zupełnie sam Anhelli, bo wszyscy współwygnańcy pozabijali się, zatracili się, zginęli; duszno mu i tęskno. Ostatnią mu towarzyszką został anioł Eloe, stworzony przez Alfreda de Vigny, a przez Słowackiego zagnany na śniegi biegunowe, anioł urodzony z łzy Chrystusa na Golgocie, anioł litości, co się dał uwieść szatanowi, anioł, co teraz grzebie kości pomarłych na błoniach białych, oświecanych przez zorze północne. Ten anioł drugi raz się urodził w ręku Słowackiego. Anhelli nareszcie sam, skłoniwszy głowę, ducha oddaje. Aliści ledwo skonał, pędzi rycerz na koniu, rycerz podobny do zjawisk Apokalipsy, wołający piorunowym głosem: „do broni"! Ale Eloe rzecze

mu: Jedź dalej, Anhelli już umarł, już on mój na zawsze". Taki koniec.

Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego. Trudno było w elegią smętną, a jednak pełnią barw Moorowskich przetworzyć Sybir; poeta tego dokazał. Jeśliś nie czytał, dostań, jeśliś zaś już miał w ręku to dzieło, powiedz co myślisz, czy to samo co ja? Wiem, że po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny i wyśniły mi się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęcze, o których tam mowa; gwiazdy i tęcze, nie takie jak u nas, ale podobne do świateł nicość oświecających, gdyby można pojąć świat nicości.

L. do Gaszyńskiego. 1838.

Nie mogę przystać na twoje zdanie o Balladynie. Jej forma jest właśnie konieczną dla jej treści. Ona ma zawierać w sobie ducha czasów bajecznych. Co to za czasy europejskich ludów? Właśnie owe, w których kipiała mieszanina pogańskich usuwających się, i chrześciańskich nadchodzących wyobrażeń. Weź Nibelungów, zupełnie toż samo. W Nibelungach rzecz się stała bez wiedzy o sobie samej, z natury rzeczy, u Juliusza toż samo, z wiedzą, z pojęciem konieczności tego. Co zaś do wierszy, nie możesz zaprzeczyć, że szalenie łatwo i pięknie mu się wiją. Mógłbyś mu naśladowanie czasem dosłowne Lady Makbeth i króla Leara zarzucić;

ale ogólne pojęcie Balladyny jest zarazem fantastycznie niepodległe i konieczno-historyczne! Czy myślisz, że się nie odbywały rzeczywiście takie chaosy sprzeczności, bójki lub mięszaniny mitologii i teologii, w czasach, kiedy grzmot Peruna u słowiańskich, młot Thora u germańskich plemion padał przed krzyżem? Czyż ślady tego zlewku nie widne w legendach pospólstwa? Dlaczegoż poeta nie może poetycznie prawdy takiego stanu wyrażać? Czemuż nie ma tworzyć postaci na pół chrześcijańskich, na pół barbarzyńskich, kiedy ludzie, którzy wonczas żyli, w całej prawdzie teraźniejszości swojej takowymi byli? Czyż odrazu krzyż wziął górę, czyż w dniu jednym opanował myśli neofitów, lub czyż przed nawróceniem oni żadnego o nim wyobrażenia nie mieli? Taki stan rzeczy tylko w Ameryce mógł się zdarzyć, odciętej otchłanią mórz od Europy; ale słowiańskie plemię dotykało Germanii i Grecyi, Germania Rzymu dotykała. Szły z tamtąd głuche wieści o zbliżającym się Chrystusie, a kiedy się zjawił, długo jeszcze słychać było głosy bogów umarłych i spętanych, domagających się o powrót na ziemię. Bo nic zupełnie nie wymiera, wszędzie śmierć zlewa się z życiem, przeszłość z przyszłością. Tej prawdy uzmysłowieniem jest Balladyna.

L. do Gaszyńskiego. 1839.

Czytałem w Niemczech Lillę Wenedę, pomysł

mytu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygoną, ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza, który naśladuje Grabca z Balladyny, który Grabiec sam naśladuje jakiegokolwiek z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohatyrów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie takiem gałgańskiem. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisał do niego skargę Lilli, bo mi się biedna dziewczyna skarzyła. Szlaz jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nosa Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej było ją zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwalać.

L. do Gaszyńskiego. 1840.

Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj, nakształt harfy eolskiej, duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, rozprawy. Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do ciebie! więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby! Dalej, niezawodnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozerwane szczątki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę! Spróbuj, oni o to

się domagają. Dopiero uczują twoją rekę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilja rosnąca niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie. Julu, czekam na twój list Wendyjski, pamiętaj, że naszem polem jest Sztuka i że o sztuce rozmawiać winniśmy.

D z i ę k i c i r a z j e s z c z e z a t w o j ą p a m i ę ć i p r z y j a ź ń i d o b r o ć. Bądź zdrów, bądź szczęsny, bądź kochany; nie mówię bądź sławny, bo będziesz nim: nie życzę nikomu tego, co mu bogi dały. Dotąd wielki artysta, tylko artysta cię obejmie, zgruntuje, zrozumie, ale ty zstąpisz niżej, by wsiąknąć w serca malutkich. Gdybym miał i ja nareszcie jedną ci uwagę uczynić, to tylkobym jedyną uczynił: granit rzuć pod twoje tęcze; tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, to jeszcze ją lepiej tęczą robi.

L. do Słowackiego. 1840.

Pisał do mnie Słowacki bardzo smętny list, choć udający, że niesmętny, z powodu krytyk. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, wy się na nim nie znacie, przyjdzie czas, w którym się poznacie.

Wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na Fausta, wszyscy na pana Adama, że ciemny, — a dziś, dzieci go rozumieją, bo co się przeprowadza w mózgu ojców, to do serc dzieci przechodzi i rodzi się z niemi instyktownie!

L. do Gaszyńskiego. 1840.

Gdy Byron zaczął drgać nad uszami ludzi, (zawsze zrazu zaskorupionymi, aż powtórne drgania ich nie otworzą i nie oczyszczą), ludzie rzekli, żaląc się niezmiernym sposobem: Ciemny, ciemny, ciemny! Dziś w każde dziecię już wsiąkły myśli Byrona, siedzą malcy za ławkami, a rózga przy nich i myślą, że są Korsarzami, Dżaurami, Manfredami, etc. Co ich matkom i ojcom z pracą niejaką wcisnęło się do mózgu, to już w ich żyłach, w ich krwi naturalnie żyje. Kiedy Göthe wydał Fausta, Niemcy całe wyprawiły nie wiem jakiego pedanta w poselstwie do samego Mefistofelesa z zaproszeniem, by sam djabeł przybył i wytłumaczył siebie samego. Mefistofeles, figlarz wielki, dał mu szczutka w nos i niezmiernie potem zesmętniał, a gdy się go pedant zapytał: czemu? „Oto temu mości dobrodzieju, że dobre to były czasy, kiedy djabeł musiał tłomaczyć ludziom w raju jeszcze, czy później za rajem, to, czego ludzie nie pojęli. Teraz już jedyny djabeł nosi imię: dziesięć lat. Odejdź waćpan, a gdy z piekła wrócisz do Wejmaru, przywitają cię niezawodnie słowem: Ευρηκα, ale z więk-

szą obyczajnością, niż Archimedes, bo nie goli od stóp do głów na ulicy". I tak się stało.

Po trzecie: gdy pan Adam zaczął balladkować, kto nie porwał się z całej Polski, przeciwko niemu? Pamiętam te czasy: brałem jego pierwsze tomiki, żarłem je, ale dalibóg nie rozumiałem. Wszystkie niedźwiedzie (bo to było w zimie) przestawszy ssać łapy, podniosły sie i ryknęły: „Czego on chce?" Wszystkie wiewiórki z sosen pisnęły, zawieszając się na rudych ogonach: „niedowarzony". A potem co się stało? Słuchaj i wiedz. W tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytują za u m a r ł e, nie u m a r ł o. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest, jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi; ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie. *) Drugi posiadł wszystko, na czem zbywało pierwszemu: posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz; posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mówi mu: Ot cały twój jestem, każ a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam;

*) Mickiewicz.

wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz, bym stwardniał w bryłę, — patrz, marmur ze mnie; bym w gaz się ulotnił — patrz, jakim błękitny i znów śniady a przejrzysty, płynny, prawie już nie będący, jednak zawsze „twój". Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni: to, co w pierwszym było jednością twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby, niż sam wszechświat chwytającą, tu się stało rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu: on stoi, jako szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, księżyc, anioły, bogi, szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, ty wiesz, że to Ty! Trzeci to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was trzech odgadnąć łacno, że ziemia co was wydała, zieloną jest, i że na jej mogiłach kwiaty porosną. Widać, że cię nie doszły nędzne wiersze, ale nie nędzne myśli, pod ich gałganami ukryte, którymi przed sześcią tygodniami dziękowałem tobie za

twoję pamięć, za twój list, wtedy dopiero doszły do mnie, chociaż napisany przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny (Balladynie), to samo do dnia dzisiejszego myślę. *Midsummer-night-dream*)* doskonalszego, kapryśniejszego a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej niema na świecie: płuc już dobrzem nadtracił i żółci mi przybyło nie mało, od kiedy tłómaczę im a oni nie rozumieją; nie widzą, że nawet pod historycznym względem ten czas winien być tak pojęty, bo był w rzeczywistości takim chaosem, taką mieszaniną, takim socyalnym grochem z kapustą chrześcijaństwa, niedowarzonego jeszcze i pogaństwa usuwającego się z powierzchni ziemi. Dalej, wszystkie zarody narodowego charakteru postawione, rzucone doskonale, bez żadnego musu, bez intencyi, bez pedanteryi, słowem poetycznie! „Jabym zbawcę zbawił". Kto inny od szlachcica polskiego takie słowo powiedziałby na kuli ziemskiej? Jeźli jest brak ścisłej, klasycznej harmonii, to że właśnie pojęcie dzieła zależy na tym braku widomej jedności, bo to są czasy mityczne, lecz tysiąc lat wyrwane po sobie z grobu, a zatem Ariostycznej tylko formy zdolne nie Homerycznej, ani Eschylowskiej, zresztą, ty lepiej to wszystko wiesz odemnie. Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać, że djablą buffonadą, przystępną zrozumiałą na-

*) „Sen nocy letniej".

tychmiast wszystkim powiedział; kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie; wszystko, co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa. Tak myślę; pochlebiać ni chciałbym ni — mógłbym. Choć moja natura śmiertelna, jednak w czasie ma w sobie zarody nieśmiertelne, a zatem i dumę, bo dumą duch trwa. Indywidualność, to duma, tylko pojąć trzeba co duma, nie mięszać jej z fanfaronadą.

Zatem prawdę ci mówię szczerze: gdybym cię liczył do m o r i t u r i s, równie szczerzebym milczał, milczenie jest albowiem mową grobów.

L. do Słowackiego. 1840.

Drogi Romanie! Na żaden sposób nie mogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości, wyrządzonej przez publiczność Słowackiemu. Zapytam się: w czem go nie rozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał? Pięć jest jego przedniejszych dzieł, o nich pomówię chwilkę: Ojciec zadżumionych — Szwajcarya — Wacław — Anhelli — Balladyna. Pierwsze ma w sobie potęgę Laokoońską boleści, tylko, że nie rzeźba, ale farby malarskie użyte do wydania myśli. Drugie jest tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o m i ł o ś c i m a r z o n e j nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wiszeń nad główkami

śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsnem jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać! Trzeba bezczelnym być, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!" I to instynkt był mój, wrażenie na mnie wywarte, nie żadne rozumowanie. W Wacławie spowiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Charakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany, jak na wielkiego mistrza wypada. Byron lepiejby nie był potrafił, to też całkiem byrońskie. Teraz o Anhellim. Zaprawdę, trzeba potęgi uroczej, jenialnej, nadzwykłej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny. Wiesz, że mówią, iż czasem Duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepta do ucha i łudzi i nęci i porywa.

Otóż piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem. Tak samo w splotach węża jest lubieżność jakaś, pociąg niepojęty, magnetyczność, porywająca ptaszki. Juliusz w takiego węża przemienił Sybir i lgnąć doń kazał duchom czytelników. Cechą niezawodną, piętnem

jego poezyi, jest owa cudowna mięszanina, złożona z wstrętu i ponęty, ów urok panteistyczny, co razem każe twoim stopom cofać się od brzegu przepaści, a głowę twoją ku niej podaje i serce nachyla, aż ciebie całego zrzuci w głąb!; ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która ci ducha powleka, ile razy spojrzysz w noc gwiaździstą, w noc wszechświata zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porywają wtedy umysł. Radbyś rzucił się i pływał w nieskończoności: aż tu trwoga cię obejmie zarazem, zmysły twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg ci się zawróci: a jednak w tejże samej chwili znów uczujesz, że chciałbyś na zabój, przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga! rozpłynąć się, nie być i być zarazem, topić się, czując, że się topisz, czując wiecznie, że się topisz w błękicie! Z tego to głównego akkordu, raczej tonu rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczej rozprzęgliwa niż skupliwa, raczej odśrodkowa, niż dośrodkowa, raczej malownicza, niż kująca rzeźbę, raczej muzyczna, niż malownicza, raczej szukająca Boga, niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym i opisanym, słowem jednem, raczaj panteistyczna, niż katolicka! Ale bo też Panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga! Panteistyczny kierunek jest wszędzie, ale nie sam jeden. W tem błąd: mieć go za jedyną prawdę; w tem prawda: mieć go za prawdy połowę. W du-

chu Mickiewicza przewaga na stronę Indywidualizmu, osobnika, wiary uosobiszczonej, energii, skupienia, środka, co w się wszystkie zebrał promienie okręgu. W duchu Juliusza zupełnie przeciwnie. Przewaga na stronę nie podmiotu ale przedmiotu, nie indywiduum ale świata, nie jedności ale rozmaitości, nie środka ale peryferyi. Ztąd Mickiewicza postacie są rżnięte w opoce z granitu, olbrzymie są, architektoniczne, wzniosłe *(sublimes, grandioses)*. Juliusza zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, błyskające, świecące, jak tęcze, wieczną tęsknotę zostawiające w duszy, ale przy tej tęsknocie pewność, że były, przesunęły się i gdzieś odleciały i nigdy nie wrócą; on im przypiął skrzydła, posłał je za gwiazdy stałe, za konstellacyę Oriona, poza drogi mlecznych pyłów... Gdzież one teraz?... Kiedy tymczasem p. Adam owszem, z nieba każe zstępować swoim i tak je dłutem przybije do ziemi, że z nią się zrosną i na niej posągowo zostaną na zawsze. I on i Juliusz są dwoma mistrzami, ale dwóch sfer innych, niby to przeciwnych — na pierwszy rzut oka, tymczasem zupełnie z sobą harmonijnych, a dążących do zlania się razem; a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci. W naszej literaturze konieczność była Adama, jest Jula, będzie owego trzeciego kiedyś. Wcale Juliusza nie mam za zwierzchnika Adama, ale mam go za jego loicznego następcę. Mógłby Adam jeszcze dzieł wydać wiele, ogromnych, najwznioślejszych (i wierzę, że tak będzie), tyle, ile

już ich pokazał światu, a zawszeby duch Juliusza był i powstał dalszem rozwinięciem się, koniecznie potrzebną wynikłością ducha Adamowego, choć wrzekomo zdaje się z nim walczyć. W tem jest optyczne złudzenie chwili. Gdy się oddali świat od dni naszych, może temu przeczuciu mojemu prawdę przyznają. Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą; on zastał chaos, on rzekł w naszej literaturze: „Światło, stań się!" By z rozerwanych, samopas chodzących atomów coś stworzyć i ukształtować, trzeba tej siły wszystko do środka kierującej, wszystko osadzającej na dół, wszystko, co płynne, zmieniającej w kryształ. Mówią, że z wyżyn atmosfery, błąkające się gazy opadły na ziemię w kształcie granitowych skał: to kości planety, jądro jej, energia jej. Tem samem Adam w świecie duchowym Polski: w nim siła Tytańska, to Michał Anioł nasz. W oczach posągu Mojżesza, któremu roztłukł młotem kolana Michał Anioł mówiąc: *„Adesso parla!"* — jest coś, przypominającego oczy Mickiewicza.

Ale teraz planeta, choć ma granit i marmur, choć nad tym granitem i marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym, całkowitym! Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedm barw tęczy, znów z posady tej kamiennej, tytańskiej, z tej planety, którą zaokrągliła siła skupień, muszą ku Niebu rozlecieć się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury coraz wyżej, wyżej powracające

w Niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś... poniosą wieść o tem, że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni! Takim gońcem świata do światów wszystkich, takim powrotem stworzonej rzeczy do okręgu niebios, w naturze samej już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającem; w duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny *(la facette panteistique);* w literaturze polskiej — Słowacki!

W Balladynie masz tego najoczywistrzy dowód. Jest to najpiękniejszy *midsummer-night's-dream,*)* najprześliczniejsza epopea, ale nie Homeryczna, jak Pan Tadeusz, tylko Ariostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony fantasmagoryą, kapryśna, swawolna, a zawsze i wszędzie przyciągająca, wijąca się w górę, jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci, co patrzyli, a teraz już nie widzą nic, tęsknić muszą na zawsze! A Pan Tadeusz przeciwnie zupełnie: Wojski, Podkomorzy, Assesor, Telimena, na wieki osiadły tu, są tutaj, przy mnie, ze mną, znam ich, jem, piję z nimi; nie tęsknię za nimi, bo w każdej chwili mam ich, tak ich mistrz w mózg mój wrył, że choćbym chciał się od nich rozdzielić, nie potrafię. Jeszcze raz: wykuł ich z granitu. Ale gdzież pójdę szukać Anhellego? Kto mi wskaże nadpowietrzny szlak, kędy raz ostatni westchnęła dusza odlatująca Haliny, biednej Haliny, co

*) „Sen nocy letniej".

wczora jeszcze zasypiała, tak szczerze prosząc Boga, by jej malin nie skąpił na murawach boru? A ta sroga Balladyna, z czterech wierszy legendy gminnej wysnuta, Królem Learem i Lady Macbeth popchnięta, ta przejrzysta zbrodnia, zawierająca w sobie wszystkie błędy i cudne przymioty Polek wszystkich; ta Maryna Mniszchówna bajeczna, ta odważna, śmiała, nadewszystko dumna, ale kiedy już królową, chcąca zostać Aniołem i żałująca grzechów Laszka — czy wiem, gdzie szukać nawet jej popiołów, rozbryzgniętych uderzeniem piorunu?... Sen był — sen minął. Ach! gdzie sen mój? A ten Kirkor „coby był Zbawcę zbawił na Golgocie", czy to nie monada najprawdziwsza idealnie szlachcica polskiego? Trzeci przyszły kierunek literatury naszej, zapewnie się objawi w doskonałem urównoważeniu tych dwóch wyłącznych kierunków. Wracając do analogii z planetą, możnaby powiedzieć, że właśnie jego całość na tem zależy, że doskonale umiarkowane są w nim: potęga skupienia do środka i rozprzężenie od środka. Pierwszej wyłącznie go oddać, a skamienieje, drugiej, a rozleci się i roztopi. Trzecia więc musi być siła — spójnia. Ale znowu ta trzecia nie może być bez dwóch pierwszych, ni druga bez pierwszej, ni pierwsza bez wydania drugiej, ni obie bez dążenia ku trzeciej. Każda z nich jest warunkiem drugiej, a wszystkie między sobą równe, bo żadna bez którejkolwiek z drugich dwóch istnieć nie może. Z tego wypada, żem Juliuszowi

żadnej nad Adamem wyższości nie myślał dawać, k edym go nazwał następcą Adama w loice nasze literatury: mam go za równego, — czas usprawiedliwi lub potępi to zdanie moje — ale tak za równego, że Mickiewicza siła nie jest Jego siłą, ni Jego siła nie jest Mickiewicza siłą. Czego jednemu brak, to drugi ma; a co z nich każdy ma, to posiada w najwyższym stopniu. Styl, którym włada Juliusz, jest tak giętki, tak wierny Jemu, tak niewolniczo słuchający go, że mi czasem przypomina ten wiersz p. Adama, w którym mowa o Heroizmie niewoli w chłopie słowiańskim. Nie sposób z językiem i z wierszem trudniejszych dokazywać cudów. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem: *Patri* — *Patriae*, bo język wtedy byłby całą ojczyzną. Tak nie jest: prócz języka, wiele innych jeszcze pierwiastków jest w ojczyźnie; z tych niektóre mogłyby także taki sam posąg postawić Adamowi.

Gdyby publiczność była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym krytykę pisząc wspomniał o tem, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dysharmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy trzymacie. Wy to jemu powiecie, powtórzycie. Zresztą on o tem sam wie, inaczej nie byłby wielkim poetą.

Cerevisiam bibit — sententiam dixit. Możesz to o mnie powiedzieć, jeśli chcesz. Co piszę, to z przekonania.

L. do Załuskiego. 1840.

Julu, powtarzam ci, nieśmiertelność jest w tobie, od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, *taking the measure of an numade* (?) *grave,*)* nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozaikowym artystą! Nie, tak nie jest. Artysta z ciebie! Mistrz! Lecz nie ufaj nigdy chwilowym ludzi poklaskom. Wszystko, co żyć ma i trwać, musi przejść wprzód przez walkę: od pieska, co na robaki umiera, od dziecka, co płacze, gdy mu ząbki się wykłuwają, aż do epopei Danta, aż do idei chrześcijaństwa. Co zatem zaraz zyskuje aprobacyą gminu, to nie długo pożyje, wierz mi, Julu! Tyś przeznaczony żyć, jeźli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla znikomych ułudek. Bądź d u m n y a p o k o r n y, a będziesz w i e l k i m! Niech cię Bóg strzeże, myśl o mnie zawsze jako o istocie mającej serce wiecznie rozkwitające i stulistne, gdy obraca się ku tobie!

L. do Słowackiego. 1841.

Nic prawiem nie zrozumiał w Królu Duchów, jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prze-

---

*) Widoczna omyłka: Nie „*numade*" lecz „*unmade*" grave; w całości znaczy to: „biorąc miarę na niezrobiony grób".

śliczny, ale to jak w kalejdoskopie, rysunki barw pełne lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze ale bez myśli! przynajmniej tak schowana, że jej ja nie mogą dojść, może też zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metempsychozę ducha człowieczego i to przez wieki wszystkich polskich dziejów, to wiem, ale nic więcej! Albom ja waryat — czytelnik, albo autor, co pisał. To niebezpieczne takie pisanie, bo gotówby czytelnik w zapasy pójść z autorem, wołając w rozpaczy: „Ty, ty, ty, nie ja waryat", a on też znowu ze swojej strony; więc do nożów wkońcu i metampsychoza skończyłaby się na zabójstwie.

L. do Gaszyńskiego. 1847.

Biedny Juliusz Słowacki, umarł 4-go nagle, niespodzianie, nie wiem z czego. Język polski traci w nim najprzedziwniejszego mistrza. Biedny, od kiedy Towiańszczyzna opanowała go, żył w samotności i niesłychanem wyprężeniu ducha, marzył przeznaczenie wielkie, myślał, że do nowej Jeruzalem w tryumfie wchodzić będzie — i skończył tak przed czasem. Biedny! Niezawodnie Towiańszczyzna go zabiła.

L. do Trentowskiego. 1849.

Ulrych się na krytyka urodził, ma naturę zaprzeczania; n i e jest jego wszystkiem, tak u Mefistofelesa w Fauście. Jego rozumowanie podobne do tego:

„Jeśli czarno, to fałszywie, jeśli biało, to nieprawdziwie, jeśli zaś cudem jest zarazem biało i czarno, to niedorzecznie.“ Naprzód krytyk powinien ogarnąć myśl dzieła; jeśli jej nie pojmuje, niechaj się do krytyki nie bierze. Albowiem można tylko sądzić o tem, co jest w naszym rozumie pojęciem, o tem, co się stało niejako gościem mózgu naszego. Lecz jeśli mówimy: „twarz tego zamaskowanego człowieka jest brzydka lub piękna“, to głupstwo, bo naprzód larwę, co go kryje, zedrzeć powinniśmy, a dopiero o rysach jego wydać zdanie.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Oddawna już marzysz o Kazimierzu Pułaskim; pamiętam, ukochany to był zawżdy bohatyr twego serca, i w istocie homeryczna figura. Możnaby w pierś mu włożyć wszystkie teraźniejszości przeczucia, i gorżki żal, pochodzący z wiedzy, że te proroctwa Markowe nie za dni jego spełnić się mają, choć pewno się spełnią; zupełnie jak u Achillesa, który wie, że Troja upadnie, ale też wie, że sam przed jej upadkiem zginie, a pragnie tak całą duszą zwycięstwa i Trojan zaguby. Oto byłby prawdziwy zarys tragiczny w Pułaskim.

L. do Gaszyńskiego. 1843.

Nie oddawaj się poezyi Hugo'a. Jest to poezya wyrażeń, bez myśli. Wielkim niedomiarem Hugo'a, Balzac'a i całej tej generacyi ponurych poetów, któ-

rzy boją się nawałnic, jest to, że mają oni za dużo wyobraźni, a za mało uczucia. Niema harmonii między poszczególnemi władzami ich duszy. Czytaj ich, to, co ci zostanie po przeczytaniu, nie będzie całością harmonijną. Czytaj Szekspira i Byrona: kilka szczegółów może ci się wydać rozdźwiękiem, ale całość utworzy zgodną muzykę. Wielki poemat powinien imitować wszechświat, gdzie szczegóły mogą się wydawać dziwaczne, ale całość — boska.

L. do Reeve'a. 1831.

U Sismondi'ego widziałem Chataubriand'a: widziany z tyłu robi wrażenie starego dandy, amatora obiadów, rozrywek; zgarbiony, w ręku laseczka, którą bije o buty; — gdy się odwróci, ukazuje piękną twarz: orli nos, wyraziste oczy, wspaniała głowa na mizernem ciele, w butonierce róża. W tej to róży, noszonej przez starca, zestrzeliły się, zda się, wszystkie fałdy wszystkich białych sztandarów i wszystkie listki wszystkich lilij, które przed rokiem okrywały Francyę. *) Chataubriand, jednem słowem, jest z tych poetów starych, których przesyca smakoszostwo i zapach pudru z peruk. O! nie jest to Byron: nie jest to poeta, który jest poetą dlatego, że jest poetą; jest on wyobrażeniem poety, który jest poetą dlatego, że t r z e b a b y ć poetą, jak trzeba być np. krawcem, szewcem, tokarzem...

L. do Reeve'a. 1831.

*) Aluzya do restauracyi Orleanów w r. 1830.

Czy czytałeś *Les Lettres d'un Voyageur* Georges Sand? Jeżeli nie, biegnij do księgarni na złamanie karku, kupuj i czytaj! Jest to lord Byron, wyidealizowany przez system nerwowy kobiety. Nie znam nic piękniejszego w literaturze francuzkiej. Rozpacz tu się daje czuć na każdej stronnicy, a przecie czujesz zapach róż. Jest to najartystyczniej skomponowany utwór naszych czasów, chociaż nie jest dramatem. Jej złorzeczenie Talleyrandowi jest arcydziełem oryginalności i sarkazmu. Następnie, ile razy maluje swe serce samotne i spustoszone, serce tak zamknięte, a przecie tak bolesne, cierpiące, rozdarte, nie sposób jest nie zgodzić się z nią, taką, jaka jest i nie błogosławić jej błędów, że zrodziły takie wspaniałe żale.

L. do Reeve'a. 1837.

Winszuję ci zapoznania się z panią Sand. Jest to pisarz pierwszy co do stylu i dziś do odwagi artystycznej we Francyi, ale od jakiegoś czasu mojem zdaniem słabnący. Koniecznie się jej zachciało być filozofem niemieckim. Francuzom to się nie udaje a tem bardziej kobiecie, choćby się tysiąc razy po męzku przebrała. Ducha męzko stworzonego potrzeba na to, by wytrzymał samotność nadziemskich pustyni. W tych pustyniach duch niewieści musi koniecznie zawsze wrócić do oazis poezyi. Poezya musi być filozoficzną, ale nie powinna o tem sama wiedzieć; to tylko ztąd wyniknąć powinno, że

każdej wielkiej filozofii, równie jak poezyi, równie jak każdej rzeczy, prawda taż sama, duch boski jeden i ten sam jest podstawą i rodzicem; lecz poezyą mieć za narzędzie filozofii, równa się allegoryi czyli niepoezyi, czyli grochowi z kapustą. Nieszczęściem, pani Sand wpadła teraz w groch i kapustę.

L. do Gaszyńskiego. 1839.

Czy czytałeś Historye Francyi Michelet'a. Jeżeli nie, przeczytaj. Jest to dzieło, godne uwagi, pierwsze w języku francuskim naprawdę i wysoce filozoficzne. W porównaniu z tem, Lermonier jest to pajac, elegant filozoficzny.

L. do Reeve'a. 1835.

Zacząłem niedawno czytać Tocqueville'a i teraz pożeram go. Nie było takiego stylu od czasów Tacyta, nie było takiego kręgu myśli od czasów Montesquieu. Tytuł jego książki*) to tylko pozór. Ameryka jest dlań punktem wyjścia; jego istotnym celem to przyszłość, teraźniejszość i przeszłość, filozofia metafizyczna narodów. Arystokracya i demokracya są dlań fenomenem do oceny, a nie zwadą do pogodzenia. W umyśle tego człowieka jest jakaś lotność poważna, zapach cnoty antycznej przenika wszystko. Twórca posągów to bardziej, niż rzeźbiarz. W naszych czasach to człowiek ciosający

---

*) *La démocratie en Amerique* par Alexis da Tocqueville.

marmur, a nie ciskający na chybił trafił kolory — człowiek taki to cud. Dowód to siły i geniuszu. Gdzie zestalił swą duszę ten adwokat z dziewiętnastego stulecia? Kto go nauczył tajemnic wieków ubiegłych? Mam głęboką cześć dla tego człowieka.

L. do Reeve'a. 1837.

Historya Żyrondynów Lamartina arcydziełem sztuki. Epopea to nie historya rewolucyi. Lecz historyi najwyższym kształtem jest epopea.

L. do S. Koźmiana. 1847.

Słyszałeś zapewne opowieść o młodym poecie angielskim Keats'ie, który umarł w Rzymie, w wiośnie życia, bo w dwudziestym czwartym roku życia, od suchot i od zmartwienia z powodu ataków *Quarterly Review*. Otóż długa była jego agonia, męczeńska i ciężka. Śmierć nie przyszła naraz. Pił ją długo, a pragnął śmierci, jak się pragnie przyjścia kochanki. Nareszcie uczuł ostatnią chwilę i wtedy poeta płaczącym przyjaciołom swoim powiedział: „*I feel the flowers growing upon me*“ *). Drogi mój, czy słyszałeś kiedy coś bardziej rzewnego i ładnego? Nigdy nikt chyba nie szedł w grób z większym wdziękiem, uczuciem i cichością?

L. do Reeve'a. 1830.

---

*) „Czuję kwiaty, rosnące nademną“.

Przypominam to sobie, w Rzymie, pięknym rankiem lutowym, pachnącym od fiołków zaszedłem na cmentarz angielski z pewnem dzieckiem, pełnem życia i ognia. Tam ujrzałem nagrobek John'a Keats'a: słup marmuru, z góry strzaskana lira potem ten napis, który znasz dobrze. Łza współczucia, zdawało się, zamroczyła moje rzęsy, gdym czytał owe słowa — oto wszystko, com miał dla niego.

Henryku to był człowiek tak uśpiony w życiu, jak jest uśpiony w trumnie; to człowiek, który miał coś z poety, ale nie wiele; cienie natchnienia, kilka dobrych wierszy, ale to nie był poeta. Zbrakło mu wiary. Był on ostatniem ogniwem tego długiego łańcucha literatów, którzy kładli głowę pod krytykę, którzy zjadali obiady i wieczerze u wielkich panów. Tak! jego grób, więcej niż on sam, może wzruszyć na chwilę — mija wzruszenie, nie pozostaje nic. To dziecko, które ze mną było na cmentarzu, gorące, przebiegłe, ta ruchliwa małpka, skacząca przedemną, wdrapująca się na mauzolea, przeginająca się przez wypukło-rzeźby, zbierająca zewsząd fiołki, aby niemi usiać groby młodych Angielek, więcej to dziecko mi dawało natchnienia, niż ten kamień skulony nad Keats'em; bo w dziecku owem było życie i siła, podczas, gdy w Keats'ie było mało życia i nic siły. Mimo to pragnął być poetą, mimo to wielu ludzi nazywa go tem mianem. Poezya była dlań zwichniętem marzeniem.

„Umrę, jak żyłem — we śnie“ — te słowa jakby wychodziły z popiołów Keats'a.

L. do Reeve'a 1831.

Szekspira świat był równym jednej tylko chwili teraźniejszej świata; ale chwila nie jest ani wiecznością to jest pomysłem Boga o świecie, ani przyszłością, to jest dopełnieniem kiedyś widomie tego ideału, ani nawet wyjątkiem w obecnej teraźniejszości, czyli pięknością, to jest ukazaniem się w kształcie błyskawicy tego pomysłu boskiego, śród wszystkich sprzecznych niedopełnień, szerokiem błotem leżących na tego planety powierzchni. Zatem świat Szekspira, choć doskonale realny i dotykalny, przedoczny, nie jest światem prawdziwym, bo nie jest całością świata. Tam tylko całość, gdzie wszelkie złe i brud wszelki zmazan i zniesion tem właśnie, że tylko za chwilę znikomą uważany, nie dorywa się znaczenia absolutnego, powszechnego, ale pozostaje na podrzędnem cząsteczki stanowisku; cząsteczki mającej się rozwiać bez śladu kiedyś, cząsteczki, której nie było w łonie boskim, skąd świat wyszedł, i której nie będzie na świecie, gdy on zrówna się z duchem boskim; cząsteczki zatem li tylko w teraźniejszości przepływnej, znikomej, wietrznej i pustej. *A tale full of sound and fury signifying nothing*).* A stary Will postawił ją za

*) „Opowieść pełna dźwięku i szaleństwa, a nic nieznacząca“.

wszystko, stary Will ją uważał za alfa i omega, w tem jego błąd. Na nieuznaniu takowego wszelka wiara oparta, a nie lękaj się o tragiczność, nie myśl, że słodko-syropowy optymizm z tej wiary wyniknie. Na Boga! gotuje się w wnętrznościach poezyi matki straszliwsza niż kiedykolwiek tragiczność, ta właśnie, której duch Szekspira podlegał ale nie wiedząc o niej. Oto patrz: całość jest boska, Bóg jest, ta kula ziemska wiruje w Bogu, żyje w nim, a choć wyszła z światła i wróci do światła i każdą elipsą dalszą swoją zbliża się doń, taki warunek położon jest jej wniebowstępowaniu następnemu, że tylko wiecznem przerobieniem się i doświadczaniem i przemianą coraz wyżej wznosić się zdoła. Cóż to jest przemiana i przerabianie się? Czy nie czujesz, czy nie widzisz, że to jest przybieranie ciągle pozoru cząstki pewnej na się, choć się jest w istocie całością; ćwiertowanie wielkości własnej na następne małości, szczegóły; krajanie siebie samego żywcem na anatomiczne kawały, czyli poznawanie siebie samego. Poznać się tylko można, rozbierając się: kto się rozbiera, wrzekomo psuje, niszczy i gałgani swoją całość i piękność. Otóż w Bogu my piękni, bo cali, niedotknięci, w dziewiczości wiecznej; ale na tym ziemskim okręcie my szpetni i brudni, bo szukamy siebie samych, a następnie, stopniowo tylko odkrywać się możemy. Dopóki my, szukający siebie, nie odkryjemy siebie szukanych, dopóki nie przypadniem do miary z sobą

samymi, dopótyśmy jeszcze biedni, słabi i zawsze coś Szekspirowskiego będzie w zewnętrznym składzie świata. Ale taki stan w porównaniu z stanem prawdziwym naszym, z boskością naszą, jest złudzeniem. W tem piekielna, straszna nad wszystkie tragiczności tragiczność, że z ł u d z e n i e może się wydać c a ł o ś c i ą, i nietylko wydać, ale z wierzchu, z góry, z boku, z całego zewnętrza bić piorunami na nas i rządzić naszemi losami na tej dotąd smętnej i brudnej ziemi. W duchu masz Boga, za sobą Boga, przed sobą w dniach przyszłości Boga, wierzysz w to, czujesz to, a dziś i jutro i przez ciąg całych dni twoich ziemskich będziesz człowiekiem, to jest aniołem walczącym z p r z e z n a c z e n i e m wszechmocnem na dzisiaj, choć w przeznaczeniu tego obecnego przeznaczenia jest, że musi zaginąć jak bańka, co pryska, jak masa, której nigdy nie było! Pytam się, czy to nie równej gorżkości jak Szekspir, ale zarazem czy nie wznioślejszej godności? Czy w takiem pojęciu świata, niema pogodzenia bólu, nadziei, nieszczęścia i anielstwa, rozpaczy i wiary, ludzkiej ironii i uśmiechu bogów? Złe jest złudzeniem, ale koniecznością jest, że musim przejść przez to złudzenie i walczyć z niem wszelkiemi siłami dopóki trwa noc świata, jak Jakób z widmem nadludzkiem. Zatem dobrze, przyznaję ci: jest to błoto, nędza, świństwo, są rzeczy bez imienia na ziemi, bo imię im nadać, byłoby siebie samego skazić. Ale czyż tu koniec? Czyż to celem

jest? Czyż w naturze ropucha lub robak miał być najwyższym, ostatecznym kształtem? Co w ciele Apollina przypomina ci ropuchę? Zaprawdę nic a nic; jednak natura niezawodnie się zropuszyła, przejść musiała przez obrzydliwość ropuchy, nim dostąpiła do Apollina. Żeby też wtedy ropuchy były napisały poemat pełen ironii, i siebie same postawiły w tym poemacie za kwiat najcudniejszy, na jaki siły planetarne zdobyć się mogły? Byłby tylko ten poemat dowodem, że cząstka jedna pojęła się jako całość i zbłądziła na całą szerz, jaka rozdziela szpetność płazu od boskiej piękności form ludzkich!

Duch ludzki tu niezupełnie porównany być może z ropuchami, bo w nim już wszystko zawarte. Ropucha nie wie nic o Apollinie, który z niej się wywlókł po tysiącach przemian; ale duch wie o duchu przyszłym i przeszłym, bo jest tylko duch jeden. Duch, jako dzisiejszy, człowiekiem jest, ale jako sam w sobie, jest boskim; w nas jest nieskończone pobojowisko zasute ruinami i trupem, na którem Bóg stopniami zabija zwierzęta, zabija człowieka, zabija wszystko, co jemu niedorównywa, i tak ciągiem wieków coraz potężniej samym sobą się staje. Lecz my równie należymy do zabitych, jak do mordercy, zwyciężony i zwycięzca zlewa się do jedności w nas. Stąd nasze cierpienia, stąd i wielkość nasza, stąd złe i dobre, małe i wzniosłe, brzydkie i piękne w nas! A kiedyś, gdy Bóg zwycięży zupełnie, w tej

samej chwili wszystkie te ruiny i trupy zmartwychwstaną, złączą się i zgodzą, i poznamy wtedy, że p r a c ą nazywało się długo zabijanie każdej cząstki swojej, by dojść do opanowania własnej całości. A zatem płacz nad nieszczęśliwymi i podłymi pogardzaj, taka dola, taka konieczność obecności teraźniejszej ; ale zarazem wiedz, że bez tego płaczu i bez tej pogardy nie byłoby kiedyś pogody na twojem czole i wiekuistego uwielbienia w twojem sercu.

L. do Słowackiego. 1841.

Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli niedomiar dobrego, brak wielkości, brak pojęcia na czem powszechność, ogół, harmonia wszechżycia zależy, piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe wyciska na czole Szekspira, piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności. Nieporównany co do szczegółów, co do ich doskonałego wyrobienia, co do analizy życia, w tem nikt go nie prześcignie. Lecz właśnie dlatego, że nadto wyłączny i jednostronny, zanadto w same pojedynkowe rzeczy i części tylko zapatrzony: zewnętrzny mechanizm życia ziemskiego rusza się w nim, ale głęboki, wieczny jego organizm gdzie? Gdzie wiara życia, gdzie to, co wszystko rozsypane skupia, wszystko rozmaite jednoczy, wszystko sprzeczne w końcu godzi i tożsamuje. Wielki to mistrz na dysonanse — dysonanse są połową życia; lecz gdzie przejście

w harmonią, w ogół, w nieskończoną prawdę i piękność, w tę drugą wyższą życia zarazem i połowę i całość? Czem w stosunku do filozofii historyi taki wielki historyk, jak Tacyt, tem w stosunku do pomysłu poezyi taki wielki poeta, jak Szekspir: wielki zaiste, lecz niedorównywający całemu pomysłowi poezyi. Wiele w nim jeszcze martwego, nierozbudzonego, nieprzypomnianego lub niewskrzeszonego, bo to na jedno wypada; i brak tego, czego niema w nim, a ku czemu dysonanse jego same z siebie się garną, czego dysonanse jego się domagają, brak ten właśnie nazywam złym duchem Jego. I w naszym wieku, na stanowisku naszem, chcę i żądam, byśmy się strzegli takiego nierozwiązywania fałszywych akordów, takiej wyłączności w ostawaniu się w pośrodku szczegółowych partykularności, niepodwyższonych do właściwej im prawdy, t. j. do pojęcia, że nie są rozsypką marną ślepego losu, ale że owszem podobne do żyjących członków jednego ciała, do żyjących części jednego organizmu, do płynących fal jednego życia. Poezya, tak jak wszystko reszta, rozwija się coraz wyżej, a gdy mędrkując, krytyki bełkocą o jej upadku, ja nowy wschód jej przeczuwam, nową gwiazdę jej widzę! Dopóki ducha, dopóty poezyi, bo (poezya) jest formą konieczną ducha. Duch odbija się sam w sobie pryzmą poezyi. Natura jest poezyą przyrodzoną Boga! nigdy niepoczęta, nigdy nieskończona! A ta sama władza, która jest u Boga wiecz-

ną i jedną, u nas doczesną i rozmaitą się staje, t. j. podlega coraz innym kształtom a wyższym — piękności! Dziś dochodzim punktu, w którym duch nasz przechyli się ku nowemu poezyi pojęciu, ku przybraniu świeżych form, nieznanych, nieoglądanych dotąd, a szerszych, niż przeszłe, a jednak tem czystszych, treściwszych, prostszych! Czem perystyl marmurowy grecki pięknial przy słońcu, i czem gotycka czarna katedra tęskniła przy księżycu, to i owo zleje się razem w wyższą potęgę, zawierającą całą rozmaitość i szerz katedry, całą jedność i prostotę świątyni; wprowadzim, że tak powiem, komy, punkta, rytm doskonale miarowy w ten las ogromny, szumny, roznucony, gotycyzmu, na treść jego nieskończoną wynajdziem formę skończoną, która tę treść całkowicie odbije a odbije marmurowo biało! I stanie się ogół piękności, w którym będzie i człowiek i ta ziemia i niebo i Bóg razem, tak, jak są w wszechświecie, tak jak są istotnie w duchu naszym, w tym jednym Ja, które wszystko zawiera pod kształtem snu coraz rozbudzającego się jawniej. Już słyszę, jak ptaszęta poranku gwarzą i jak kwiaty o wschodzie słońca wonieją.

Szekspira stanowisko było jeszcze, że tak powiem, dzikie i dziecinne: stał w pośród rozmaitości świata, obserwował fenomena, w głąb przyczyn nie zachodził, podobny w tem do szkoły filozofii Locka lub Kondyllaka. Sens jego moralny, ogólny taki: „Ty płaczesz, tobie serca pęka! Ty krzyczysz: ja

nieszczęśliwy! Spojrzyj, proszę cię, alboż to ty jeden? Patrzno: i tam łzy płyną, i ówdzie serca pękają wszędzie i zawsze; taki życia tryb od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia, wszyscy się zżymają i płaczą i cierpią. Pomyślno, czy to nie wielka buffonada tak rodzić się nie wiedzieć skąd, tak żyć, nie wiedzieć czemu i tak sobie odchodzić, nie wiedzieć gdzie? Jabym ci radził wszystko to za żart jeden przykry uważać; a kiedy żartują z ciebie, nie wiem kto, czy los, czy Bóg, czy dyabeł, czy traf, ej! wierz mi i ty zażartuj z nich, kpiną płać kpinę, bądź aktorem komicznym, ty dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata". Na tem kończy się Szekspir, bo tylko obserwował fakta, doświadczenia robił z charakterami ludzi, jak fizyk lub chemik z ciałami: wie, że się męczą ludzie, że serca pękają, krew i łzy i pot ciecze; ale nie wie po co, o co, na co, nie domyśla się, żeby ta cała męka ku czemuś wyższemu garnąć się miała. A płakać, męczyć się, krwawić się o nic, za nic, jest w rzeczy samej smętnem błazeństwem; dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce, gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte, jako męka po Szekspirowsku, ale jako męka s e r y o nie b u f f o, męka wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś ustała i przeszła w błękit pogody, w pogodzenie i pojednanie ziemi, tej trumny, z niebem, tą kopułą świątyni! Śmierć i ból jest momentem tragicznym, ale

o tyle tylko, o ile już w sobie ma zaród zmartwychwstania, bo życie tylko jest poezyą; śmierć zaś zupełna, absolutna jest niczem, jest głupstwem, jest nieduchowną rzeczą, jest oderwanem pojęciem, nie poetycznem, ale metafizycznem. Śmierć więc i ból uważane, jako część, ale tylko część realna życia, są najwyższym smutkiem, najpoetyczniejszą chwilą. Bogu tylko, duchowi tylko może być okropnie umierać, bo żyje, bo jest całością. Lecz stąd, że to Bóg, że to duch umiera a nie kamień, koniecznie wynika, że ten Bóg, że ten duch zmartwychpowstać musi i że ta chwila tragiczna jest tylko przejściem; kto więc ją za ostateczny cel postawi, ten odejmie całości prawdę, a jej samej — jej właściwą tragiczność. Bo któż wtedy umierać i cierpieć będzie? Nie Bóg żywy, nie duch nieśmiertelny, ale ktoś, ale coś przeznaczonego śmierci, coś, czego prawem jest śmierć i ból, zatem nicość wielka. Mający umrzeć, umrze — cóż za tragiczność? Żadna, mój drogi. Ten tylko tragicznym jest, kto nieśmiertelny, kto boski, a jednak umrzeć musi i w chwili zwątpienia woła: „Czemuś opuścił mnie ojcze"! Ten tylko tragiczny, kto łzy i krew leje, ale kiedy każda jego kropla krwi policzona jest i zdała się na coś; inaczej byłoby to wszystko, raz jeszcze powtarzam, tylko smętną buffonadą, najniepoetyczniejszą, jaką tylko pomyśleć można, a takie właśnie stanowisko jest Szekspira stanowiskiem. Wszystkie obserwacye jego są doskonałe, jest to najwyższy z empiryków, ale do

głębi życia nie dotarł, i dlatego na nim zatrzymywać się jest błędem. Pozostanie on na zawsze drugiem Pismem Św. narodu angielskiego, bo tego narodu, który się nad myśl ostateczną wygody cielesnej nigdy nie podniósł wyżej i nie podniesie, tego narodu wszystkim potrzebom zadosyć odpowiada i czyni. Już Byron daleko wyżej stał duchem, może wierzył w to samo, co Szekspir, ale rozpaczał o to; rozpaczać zaś — jest nie chcieć czegoś, a nie chcieć czegoś — jest już brać się ku odrzuceniu tego. Na co ze spokojem greckiego Boga patrzył Szekspir, na to samo spoglądał Byron z buntem wszechmocnym, z buntem szatana w oku; być zaś szatanem buntującym się przeciwko śmierci i nicości i materyi, jest to, zdaje mi się, poczuwać się do archanielskich skrzydeł, jest to czuć, że się jest synem Boga, i tem był Byron. Za to też Anglia, co pod poduszką tuli Szekspira, jak niegdyś Aleksander W. Iliadę, wygnała go i spotwarzyła. Lecz my dzisiaj stoim już daleko od Byrona, a od Szekspira jeszcze dalej: długośmy leżeli w grobie, lecz już z grobu wracamy do Boga. Taka wiara moja, taka logika moja.

L. do Słowackiego. 1840.

Czy uwierzysz, że Szekspira sztuki więcej wrażenia wywierają, gdy je czytasz, na scenie brak im tego ognia, co zrodzon w sercu poety, wiecznie usiłuje porywać nazad z sobą ku niebu. Szekspir, jak wszyscy Anglicy, jest głęboko ludzkim, ziemskim,

pojmuje doskonale nędzę i marność, ale w nim nie ma nadziei, nie ma powiązania ziemi z niebem; coś rzemieślniczego przebija w jego prowadzeniach rzeczy. Kiedy go czytasz, sam, patrzysz na jego sztuki przedstawiane, czujesz warsztat i machinę, czyli raczej świat cały pojęty z tego stanowiska.

Szyller inaczej stąpa: pół-boga w nim widzisz i słyszysz zawsze; młodość bez granic hurmem ciśnie się zewsząd. Wiosna wszędy rozkwita i przed grobem w sercach bohaterów i po śmierci jeszcze na ich trumnach leżą kwiaty i gwiazdy. Wiara w coś wyższego, w coś dobrego i szlachetnego wieje zewsząd z jego piersi. Jak Apollo Belwederski, z podniesionem on naprzód i niewstrzymany idzie czołem. Szekspir posuwa się ogromny, ale głowę schylił i oczyma tylko sięga w ziemię. Szekspir rozumiał duszę ludzką, Szyller ducha ludzkości; Szekspir dodawał ludzi jednych do drugich jak ziarnka piasku, Szyller ich zlewał z sobą jak światła promienie. W Szekspirze stąd prawda codzienna, wyrwana szczerzej niż gdziekolwiek indziej, na jaśnią; w Szyllerze prawda wiekuista, idealna, drga i brzmi i jaśnieje. Pierwszy rozważał, drugi czuł serca sercem, rozumy rozumem. Z Szekspira w końcu nic nie wyciśniesz, jedno naukę, że „tak się stało“; z Szyllera się dowiesz, że „tak się stanie“. Coś kronikarskiego jest w pierwszym, coś historycznego w drugim. Ostatni niezawodnie więcej miał poezyi w sobie, ostatni, doskonale znał i rozumiał starożytnych Greków, pierw-

szy kwiat rozwity sztuki i najpiękniejszy może, Szekspir nie czytał ich nigdy.

Jeśli mam prawdę powiedzieć, wolę jedną tragedyę Szyllera na scenie, niż wszystkie Szekspiry. Na kanapie będę ci czytał Szekspira dzień cały. Szekspir ma coś podobnego do tych starych dyplomatów, którzy ci opowiadają, że największe świata rewolucye i wojny wypadły z jakiejś drobnej intrygi. Intryga była, nie przeczę, ale było coś więcej jeszcze, bo palec Boży. Tu się kończy Szekspir, a zaczyna się Szyller!

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Co się nieporównanie udało Szyllerowi w „Jungfrau von Orlean", to w pogodzeniu skromności, dziewictwa, natchnienia i słodyczy zarazem chrześciańskiej z tem pragnieniem bojów, z tym zapałem niewstrzymanym do trąb, co wzywają do rumaków, co tratują, do szabel, co błyszczą i mordują, która ciągle wybucha z tej postaci młodzieńczej, pięknej, niewieściej. To przechrzczenie Bellony starożytnych jest najwyższym dowodem ogromnego geniuszu. Mierny pisarz byłby pękł, a tylko komiczną postać utworzył, Szyller najidealniejszą, najuprzejmiejszą i najbitniejszą zarazem. Czujesz ciągle woń róż i krwi angielskiej zapach, słyszysz pienie anioła niewinności i chrzęst pancerzy i boskie szczęki bitew. Nim zasnąłem podziękowałem popiersiowi Szyllera, który nad mojem łóżkiem stoi.

Byłem w XIV. wieku, na pięknej Francyi błoniach, kędy konał Talbot a walczyła Joanna. To mi jeszcze rozbudza serce, to mi młodość moją jeszcze pokazuje na oczy; czuję w takich chwilach, żem nie zgniły cały, że iskra udzielona przez Bogów dotąd w piersiach moich się pali, nie moja wina, jeśli płomienia z niej nigdy nie będzie. Oh! przeznaczenie ubłogosławiło duszę człowieka pragnieniem niewyczerpanej piękności i siły! Ile razy luka się wytnie wśród karczów życia i tam gdzieś, daleko, mignie brzeżek błękitu, on wyciąga ręce i zda mu się na chwilę, że w niebie. Tak mi wczoraj było. Głupcy co krzyczą na poezyę: niech pójdą ze mną, niech, nim wejdą w ten świat wielkości, przejrzą duszę moją, niech tam obaczą, że ciemno i nicość; a kiedy wystąpi Joanna, kiedy poczną uciekać hufce angielskie, niech spojrzą raz drugi, a jeśli obaczywszy, żem szczęśliwy, jeszcze zdołają powtórzyć sądy swoje nędzne, to nic ich nie oduczy, — radzę im, by sobie sklep kupili w Getto, miasto pójścia do Kapitolu!

Wielki Boże! dzięki Ci za to, żeś zrównoważył, podłość na tej ziemi, poezyą; gdyby nie ta córka Twoja, któżby ufał w Ciebie?

L. do Sołtana. 1837.

W tych ostatnich dniach wziąłem się trochę do literatury niemieckiej i przysięgam ci, że to jest pierwsza w Europie, pod wszystkiemi względami.

Jean Paul Richter jest to pisarz, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, coś tak nadludzkiego, iż zdaje się czasem, że to był duch wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas szlaki państwa duchów. Jego fantazya umie tworzyć jakby była Bogiem. Musisz się upić, musisz się zataczać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się lękać lub zachwycać, kiedy cię on porwie za sobą i nieskończoność uniwersum wskazując, raz cię stawia w godzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po ruinach wszystkich światów; to naprzemian rzeźwi cię nadzieją i przenosi cię na szczęśliwe wyspy, wśród okręgów światła, wśród tysiąca słońc i księżyców, tysiąca zórz północnych, wśród obłoków woni, wśród harmonii gwiazd, akkordów bijących zewsząd; — i tam zgromadziwszy wszystkie dusze ludzkie, otoczywszy je aniołami zbawia mnie miłością jednych dla drugich, łączy razem kochanych z kochanymi, ten milion serc i postaci rzuca w objęcia anioła śmierci, który je przyciska do łona, i z tych milionów jedna tylko łza rozrzewnienia się tworzy, i ta łza coraz przeźroczyściej płynie w nieskończoność wieczności! Ale darmobym ci go opisywał, trzeba samemu czytać. Dostań jego „Titan", to jest arcydzieło. Ale trzeba czytać uważnie i nie zrażać się pewnemi dziwacznościami.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Temi czasy czytałem dużo po niemiecku. Zapewniam cię, że powietrze danego kraju niesie w dusze dźwięki jego języka*); nic nie umiejąc, zabrałem się do czytania Jean-Paul'a, Okena, Hartmanna, N i b e l u n g ó w, S a g ę F r i t h j o f'a, Novalis'a, Goethe'go, — nie wiem, jak to się stało, ale ich zrozumiałem. I jakby nowy świat otworzył się przedemną. Jean-Paul dał mi wrażenie Boga nieznanego, któryby mógł stworzyć nową część świata. Najświeższa to z dusz, jakie poznałem, najbardziej dziewicza. I wogóle, poezya niemiecka bliższa jest wielkiej istoty, niż jakakolwiek inna poezya w Europie. Mniej indywidualna, mniej energiczna, mniej ludzka, niż Szekspir i Byron, ale nieskończenie podnioślejsza, szersza, pozacieleśniejsza. Uniwersum jest stałym bohaterem tej literatury. Ci poeci stapiają się w jedno ze wszechświatem, podczas kiedy Byron zwęża wszechświat do siebie, a Szekspir do ram społeczeństwa, do miejsca określonego, do intrygi, którą popycha i demonstruje. Niemcy to trójkąt w kole, Szekspir to koło w trójkącie. Toteż ileż on ma siły! jaki jest ostry, hartowny, przenikliwy. Ale nie umie się rozprzestrzenić, nie umie chwycić falowania duszy, która się stapia z Bogiem, która się rozpyla we wszem; nie pojmuje co to jest fluid; jest on ciałem

*) Krasiński czyta poetów wymienionych i wymienione utwory podczas pobytu w Gräffenbergu; stąd aluzya do „powietrza kraju" tych twórców.

mocnem, marmurem, żelazem, posągiem. Niemcy, lepiej niż co innego, zrozumieli naturę fluidu, wibracyj; westchnieniem zdążają do widomego kształtu, by na nowo upaść na łono Boga. Oto, co ich utrzymuje w dziecięctwie, w naiwności, ale i w głębi zarazem, co ich czyni czasami tak bosko czarownymi. Bo nic chyba nie ma w sobie tyle czaru, co niepewność, co zasłona i co bezwątpienia (gdybyśmy mogli widzieć) fale powietrza, magnetyzm, co prądy elektryczności.

L. do Reeve'a. 1836.

Wychylałem czaszę wiedzy niemieckiej, wgłębiałem się w Okena, Schuberta, Schellinga — i niech mię dyabli wezmą, grałem rolę doktora Fausta a oni Mefista.

L. do Reeve'a. 1836.

Zakończenie Fausta przekonywa mię, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym nawet od Byrona; wniknij w Manfreda, Kaina, Marino Faliero etc. etc. a przekonasz się, że wszędy tam potępienie wieńczy dzieło. Byron jest tylko tedy etapem w poezyi wszechświata. Nie pojmował całości, podczas gdy Goethe pojął cały wszechświat, pojął walkę dobrego ze złem i kazał tryumfować dobru. Tylko że w formie Goethego jest jeszcze coś z wieku ośmnastego. Była taka chwila, kiedy Goethe wziął Diderot'a za wzór.

L. do Reeve'a. 1833.

Czy czytałeś S a g ę F r i t h i o f a Eseasza Tegnera, przetłómaczoną na język niemiecki? Jest to pierwszy nowyżytny poemat epicki.

L. do Reeve'a. 1836.

Czytałem w tych dniach Herdera. Potężny geniusz, zaciekły przeciw katolicyzmowi, zestrajający mało spraw z Chrystusem, ale świetny w swej powadze, potężny w swym rozumie, przecinający ostrym mieczem noce wieku, nielitosny sędzia nizkości i zbrodni, czasem prorok, zawsze nowy i majestatyczny, zawsze ponad wszystkiem, w głębi materyalista, rozpoczynający od materyi i na niej budujący wszystkie konsekwencye duchowe, człowiek, który ma w sobie coś z Pithagorasa, coś z Arystotelesa, nic Platona; człowiek stworzony do rytmu i liczby, człowiek, pojmujący świątynię egipską i Fatum greckie, ale nienawidzący mroku katedr gotyckich, może dla tego, że łatwość jego talentu poetyckiego przyzwyczaiła go do tego, by poezyę uważać tylko za formę, instrument.

L. do Reeve'a. 1835.

Gib treulich mir die Hände
Sei Bruder mir und wende
Den Blick vor Deinem Ende
Nicht wieder weg von mir!

E i n Tempel, wo wir knieen
E i n Ort, wohin wir ziehen,
E i n Glück für das wir glühen
E i n Himmel mir und dir!

Rozkoszne wiersze Novalisa, jedyne istotnie piękne, które napisał, bo jego proza nieskończenie wyższa od jego wierszy, ale te są urocze!

L. do Reeve'a. 1836.

Jeżeli mię kochasz, przeczytaj Schlegela: „Historyę literatury". Przeczytaj, jestem pewny, że zyskasz na tem. Jesteś urodzonym poetą, ale jeżeli cokolwiek może z człowieka zrobić poetę, to tylko ta cudowna książka.

L. do Reeve'a. 1830.

Henryk Heine jest to wyraz zgrzybiałej filozofii, wpadającej nazad w dzieciństwo, wracającej do materyalizmu i lekkomyślności, tak jak Wiktor Hugo zgrzybiałej poezyi jest arcykapłanem. Heine i cała jego szkoła, chcąc koniecznie coś nowego utworzyć, nie pomiarkowali, że do bardzo starych zasad się cofają, że przedrewolucyjny materyalizm Helwecyusza i panów dworskich, przebrawszy go tylko w mieszczańskie szaty, nazad stawiają na nogach. Dziwna to zamiana. Kiedy Francuzi chcą koniecznie wziąść się do serio przez naśladowanie Niemców, Niemcy osiadają w Paryżu i buffo grać zaczynają. Odpowiedź, którą ci się wywinął, jest godna jakiego

markiza z 1750 r. Ten człowiek wiele śniadań i obiadów uprzyjemni przytomnością swoją, spodoba się wielu ludziom, wytknie wiele wad, spostrzeżeń trafnych tysiąc na godzinę wysypie z rękawa, ale jego pamięć niedługo potrwa, jego myśli pójdą za jego ciałem w proch i nicość. Jest on z rzędu używających, wiary żadnej nie ma, o panteizmie lub idealizmie twierdzić nie umie, ale spytaj go, czy miło jeździć w wygodnej karecie, czy przyjemnie pić szampana i za pieniądze kupować uszanowanie ludzi, a pewno się nie zająknie i powie: „A jużciż".

Wiesz, co Dante wyrzekł, kiedy w piekle ujrzał Kondotyerów francuskich, którzy mężnymi byli i bitwę niejedną wygrali, tylko żadnej wiary ni czci nie mieli: „Świat nie przystał na to, by po nich jaka sława została — spójrzmy, przejdźmy i nie mówmy o nich *(guarda e passa)*. Niech to służy Heinemu.

L. do Gaszyńskiego. 1836.

Zacząłem czytać Dantego po włosku, nie umiejąc po włosku ni słowa — i zrozumiałem jednak Dantego. Jakie to średniowiecze posępne, pełne uniesienia, imponujące! Jak się brata chętnie z każdym obrazem czarnym i ponurym! Jak ten zimny deszcz pada ciężarem na potępieńców! Jak gorzko unoszą się w powietrzu dusze przepadłe — jak jesienny liść. A tuż obok Charon antyczny i antyczny Cer-

ber. Wszystko na swojem miejscu: groza starego świata i groza nowego. Bogowie upadli ze swego nieba, ale bogowie piekła zachowali swe trony. Dante to jeden z tych geniuszów, którzy reprezentują nie jedno tylko pokolenie, nie jedno stulecie, ale całą konstelacyę, drogę mleczną wieków,

L. do Reeve'a. 1831.

Jestem znów we Włoszech...

Na wstępie do Włoch zaraz mnie opadły powieści o rozbójnikach, owe legendy ludu włoskicgo, zaczynające się tam, gdzie niemieckiego plemienia kończą się mity o strachach, bo w całych Włoszech jednej powieści o strachach nie znaleść. Mojem zdaniem cechuje ta różnica doskonale obu narodów umysłowe kierunki. Rozbójnik albowiem ma się do stracha, jak rozsądek do wyobraźni ideału, jak rzeczywistość do abstrakcyi filozoficznej, jak forma pogańska, opisana i ograniczona, do chrześcijańskiej, zawierającej nieskończoność w sobie. Bo trzeba włoskiej wyobraźni, by stał przed nią niezawodny rozbójnik, z pistoletami, ze sztyletem, z imieniem chrzestnem i familijnem, na tem a tem miejscu, w tem lasku, pod tą skałą. Kiedy tymczasem Niemiec rozkoszuje się w mglistej postaci, co tam słyszana a nie widziana, to znów na pół widziana przeciąga z wiatrem, wschodzi przy gwiazdach, spływa z promieńmi księżyca, niknie co chwila, raczej znika wiecznie, niż rodzi się kiedy,

i nosi w piersiach żale jakieś nieskończone, wszystkie grobów skargi, wszystkich światów za grobem istniejących nadzieje, domysły, marzenia i tęsknoty!

L. do Jaroszyńskiego. 1839.

Od kiedym w Wiedniu, jednej tylko prawdziwej doznałem pociechy, a to ile razy bywałem na Burg-Teater, kiedy grano tragedyę. Aktorów lepszych w całej Europie nie znaleźć, w każdej tragedyi przynajmniej czterech lub pięciu doskonałych, genialnych występuje. Ztąd tworzy się świat tak złudzeń pełny, tak prawdziwy w idealności swojej, że kiedy zapada kurtyna, gorycz czujesz w sercu, jakby po śnie jakim szczęśliwym i ogromnym.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Moją pociechą w Wiedniu jest Burg-Teatr. Wczoraj dawali; „Die Jungfrau von Orlean". Pani Rettich, najlepsza w Europie aktorka po śmierci Malibranowej, grała dziewicę. Sądziłem że mi uniesienie piersi rozerwie: bozka gra.

L. do Sołtana. 1837.

Widziałem pannę Rachel w tych dniach. Doskonale pojęła, co posąg grecki, co tunika przez Fidiasa dłutowana, co świat Eschylowy, co rytm przed dwoma tysiącami lat dźwięczny na ziemi, ale dalej i więcej nic. Jednostronna to piękność a nie wielostronna, zatem wielki talent ale nie geniusz,

jak np. Malibranowej! Pantomina jej wyższa od deklamacyi, pantomina prawdziwie sublimis!

L. do Gaszyńskiego. 1843.

Jeśli takeś się zakochał w malarstwie, tobyś dopiero we Włoszech mógł użyć widoku arcydzieł. Ja jakoś dość obojętny jestem na obrazy, może to i ztąd pochodzi, że nie mogę patrzyć na nie długo bez bólu w oczach. Co pojmuję być wzniosłem, to pierwszą chwilę natchnienia malarskiego, kiedy twarz nie widziana na ziemi staje mu jak gorejące słońce w mózgu i świeci jak nadzieja; ale następny mechanizm sztuki, nieznośnym byłby dla mnie.

L. do Gaszyńskiego. 1835.

Żegnając mnie wczoraj Ary Scheffer, ściskał jak brata i ze łzami w oczach mówił mi, że szczęśliwy, iż poznał mnie. Wtedy usiadłem śród jego bozkich obrazów, śród Moniki i Beatryxy i napisałem mu z kartek dwie myśli o sztuce, w tej chwili przyszłych do głowy i na pamiątkę mu je zostawiłem. To jedyny wielki artysta, któregom znał za dni naszych, Rafael naszego wieku i taki, jakiego wiekowi potrzeba, bo nietylko już obdarzony wizyą ideału ale też i ideału głębokiem zrozumieniem, refleksyjnem przeniknięciem. Czem Laprade w poezyi, w malarstwie on.

L. do Gaszyńskiego. 1845.

Jedyne tutaj*) chwile spokoju zażywam wówczas, gdy się oddaję kontemplacyi nad Wenus Medycejską, ponieważ to piękność doskonała, a piękność czy to marmurowa czy z ciała i kości jest zawsze ukojeniem w godzinach udręczeń, jak harfa Dawidowa dla szału Saula. Jest ona i podnietą w chwilach apatyi.

L. do Reeve'a. 1830.

Wiosenny dzisiaj dzień; stare kościoły Krakowa jakby odmłodniały w tem powietrzu świetlistem. Wszędy tutaj znajdziesz ślady Polski starej: Kraków to polska Verona. Przypominasz sobie naszą wycieczkę do grobu Julii? Podobne uczucia przeżywam tutaj, w Krakowie: przeszłość wyciąga do mnie ramiona i przytula, by dać mi błogosławieństwo starca; każda wieża, każdy szczyt, każda dzwonnica mówi do mnie. Kołyszę się w mych marzeniach jak dziecko, świata niepomne, żyjące z dnia na dzień w swojej ojcowiźnie i pewne, że tak będzie zawsze. Pragnę dziś, by nie było dla mnie dziewiętnastego stulecia, bo zanurzam się w stuleciach, których symbole wstają wokół mnie w gotyku, w fantastycznych arkadach i nawach katedr. Wstańcie mi, wy wszyscy rycerze z trumien, wy króle od narodu wybrani, — oto idą ku ołtarzowi, padają na kolana, by wziąć namaszczenie na Pana. Wstańcie naddziadowie! Stara

*) We Florencyi.

Polska, jak jest wszystka, wstała na mój głos — oto jest ona! Widzisz, jaka wielka, jak dostojna, błyszcząca od oręża, szumiąca od wołań, harmonijna pieśnią, jedyna tarcza Europy przeciw niewiernym, sama jedna wytrzymująca tytaniczny bój na przestrzeni od bram Konstantynopola aż po mury Wiednia?

A teraz niema już ni śladu z tej starej Polski: przeszłość to zakończona, zupełna, poetyczna. — Imię jej może zostać i stosować się do tysiąca odmian, ale treści już niema — i nie wróci.

L. do Reeve'a. 1833.

Byłem w Pompei: u wnijścia do miasta groby, zaraz potem za bramą, pierwszy budynek, to dom rozpusty. Śmierć i rozkosz, dwa największe działacze materyalnego świata. W tej odgrzebanej mumii piękne są pomniki. Architektura grecka skandowana jak wiersze Enejdy, matematyka; prawo rzymskie stare, w kamień wcielone. Tu dopiero starożytność się pojmuje i porównywa z nowemi czasy. Starożytni szli od nieskończoności w skończoność, co od pierwszej zarwać mogli, opisywali drugą, oddzielali od matki. My ze skończoności wychodzim, a dążym w nieskończoność. Oni mieli obręb ciaśniejszy, ale daleko lepiej go znali i rozumieli, niż my nas rozumiemy. Ztąd nasze usterki i brak powagi, i skoki i potykania się; w nich zaś godność i surowość, bo kto zna dobrze drogę swoją, ten poważnie i zwolna

stąpa. Ale oni byli synami ziemi i ziemię w głąb kopali; my, jak elektryczność, rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii, najpiękniejszą z gotyckich utworów, choć niewykończoną.

W Pompei równoległobok i ellipsa, to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone: nic niema za kapitelem kolumny, na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii, ty idziesz za strzałą gotycką; a kiedy się przerwie, ty dalej wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje — w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch organiczny, wielki. W Pompei ducha niema, tylko jest ciało, i ciało najpiękniejsze w rzeczy samej, ale zawżdy określone i nie żywe. Fidiasz nicby nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, kartach i potworach dłutowanych w podnóżu każdej katedry gotyckiej; Wirgiliusz plunąłby na Fausta Goetego, bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności, co pochodziło ztąd, że oni tylko jedną część człowieka znali, to jest ciało, i z tej części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrokacizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożonem z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch. To, odbite w naszej architekturze, w naszej poezyi, stanowi pstrokaciznę. Ztąd my bardziej rzeczywistymi jesteśmy, prawdziwszymi, a zatem poetyczniej-

szymi, niż oni. Oni materyalnie bardziej idealnymi byli. Większa część ludzi utrzymywać ci będzie, że starożytni owszem bardziej realnymi byli, bo realność zwykle u ludzi to materya. Lecz u mnie rzeczywistość jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury; a zatem, ponieważ my wyżsi dążeniem i wiedzą, zatem realniejsi jesteśmy. Im kto bliżej Boga, tem jest prawdziwszym, rzeczywistszym, a my od starożytnych odsadziliśmy się skokiem ogromnym. W tym rzucie, fałdy tuniki, fibule, toga, zsunęły się i zmięły na piersiach ludzkości; ale jej duch dziwnie wypięknial i wyzwolił się.

L. do Gaszyńskiego. 1835

Kościół św. Piotra jest to ludzkie arcydzieło. — Wszystko tu proporcyonalne i harmonijne. Niezmierne bogactwa tej świątyni nie są nagromadzone bez ładu, lecz tworzą całość prostą, poważną, wielką; gdybym jednak był Turkiem, podziwiałbym św. Piotra tak samo, jak podziwiam teraz, będąc chrześcianinem: bo wchodząc tam uczułem, nie obecność Boga, lecz talent człowieka.

Inne jest Koliseum.

Piękna poświata księżyca wprowadziła mię pod te arkady, które widziały tyle pokoleń, na których ciężył król-lud w dniach swojej mocy i które nie skruszyły się pod ciężarem ludzi i pod ciężarem lat. Księżyc nisko jeszcze stał na horyzoncie; wnętrze gmachu ciemne; starałem się wzrokiem przeniknąć

mroki. Serce moje biło, bo czułem blizkość starożytności. Oddałem się wspomnieniom. Pomału poprzez szczeliny murów, poprzez alee portyków zaczęły wnikać promienie; i było to dziwne patrzeć, jak łamią się na węgłach, na kapitelach i na słupach. Tu i ówdzie poczęły igrać z bluszczem, który zastąpił dziś purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, później na drugie; wszędy ciemno, czarno. Zatrzymałem się znowu, ujęty marzeniem głębokiem. Modre niebo było nademną, usiane włoskiemi gwiazdami; podemną otchłań całej kolizejskiej wysokości. Wspomnienia na wspomnienia padały we mnie i coraz bardziej wzruszała się moja wyobraźnia. Im bardziej wokół mnie uwidoczniały się przedmioty, tem bardziej zapadałem w czasy, których już niemasz, a które przecie żyją w pamięci ludzkiej. Zdało mi się, że słyszę pogmatwane dźwięki, przenikający krzyk gladyatora, później oklaski tłumu, pomruk zadowolenia, następujący po krzyku oburzenia, ryki lwów, tygrysów, a później pośród tego wszystkiego muzyka fletni greckiej i wojenne dźwięki trąb. Naraz jęki się wzmogły, później zapadły w ciszę — uczułem, że już się nie odezwą. Naraz szczęk mieczów i sztyletów antycznych rozległ się pod sklepieniem; później, to tu to tam, zdało mi się, że słyszę, jak pada ciało, uzbrojone w pancerz metalowy lub tarczę, toczącą się po piasku; jeszcze później, jakby szmer wielu strumieni, które się sączą wolno, uczułem woń krwi; ale ponad wszyst-

kimi tymi krzykami, ponad tym całym zgiełkiem głos jeden wyraźnie panował, acz cichy i drżący. Harmonijnie wznosił się w przestworze. Jakby pieśń nadziei, choć usta, z których się wydobywał, miały się zamknąć na zawsze. Jakby hymn na cześć śmierci, hymn, który spiewa dziewica chrześcijańska przed połączeniem się z Bogiem.

W tej samej chwili księżyc pojawił się na murach Koliseum, jakby się wynurzał z gaiku bluszczowego, który festonami spada ze szczytu gmachu.

And thou didst shine rolling moon upon
All this and cast a wide and tender light
Which softened down the poor austerity
Of rugged desolation and filled up
As t'were anew, the gaps of centuries
Leaving that beatiful, which still was so,
And making that which was not, till the place
Became R e l i g i o n and the heart ran o'er
With silent worship of the great of old*)

Kolumny, arkady, potyki, siedziska Cezarów, senatorów, ludu pojawiły się blade i zniszczone. Rozkryła się arena. Pośrodku wznosił się krzyż z czarnego drzewa. Krzyż ten wart dla mnie katedry me-

---

*) „I ponad to wszystko świecący wytoczył się księżyc, szeroko rozlał blade światło swoje, przyćmił niem surową nędzę spustoszenia, wypełnił i odnowił, co wieki zniszczyły; co piękne było, pięknem pozostawił — co piękne nie było, wypięknił, aż całe miejsce R e l i g i ą się stało i serce wezbrało milczącem uwielbieniem dla dawnej wielkości".

dyolańskiej i kościoła św. Piotra. Krzyż ten męczony był na tem miejscu przed wiekami, kiedy Koliseum przedstawiało całą potęgę tych, którzy je zbudowali. I krzyż ten w niczem nie zmienił się od tych dni krwi i żałoby; tam, gdzie go deptano nogami, stoi dziś nie odziany w żadną przyozdobę; wspaniałe Koliseum, dumny świadek jego ówczesnych poniżeń rozpada się w proch wokół niego. Ale on nie ma wyrazu, ni pychy, ni tryumfu. Cichy, rozpościera czarne ramiona w obie strony gmachu, jakby rzucał cień pokoju i błogosławienia na tę ziemię, gdzie śpią prześladowcy i prześladowani.

L. do Reeve'a. 1830.

Odkąd Konstanty Danielewicz grywa mi *Freischütz'a*, pojąłem walkę dobrych i złych duchów. Ta muzyka jest nieporównana. Nie jest to produkt cywilizacyi przyspieszonej i zmęczonej. Przeciwnie, to jest średniowieczne, może jeszcze nawet coś wcześniejszego. Bo w tych akordach potężnych, głębokich, jest coś z Sag skandynawskich, wspomnienie niejasne o walce bogów i tytanów rozchodzi się po duszy. To jest Eschyl, Szekspir, to są Nibelungi; potem usłyszysz coś, jakby głos biednej Małgorzaty, Anioła osieroconego tu na ziemi, który wyciąga ręce ku niebu — a w oddali raz po raz rozlegają się akcenty boskie, by przepaść w burzy. — Wtedy rozpacz owłada twoją duszą; jęczy bór i starzec dąb pada, rażony piorunem. Piekłem jedynie

jest ten świat; wyją demony, nieświadome swych upragnień. Nic ich nie obchodzi; byleby tylko był chaos i mrok. Ale nie zwyciężon anioł, chociaż skłonił na piersi swą przesłodką głowę i choć zdawało się przez chwilę, że umarł; nawet w jego milczeniu tkwi obietnica szczęścia — i gdy westchnie, westchnienie to, acz słabe i niepewne, słyszymy ponad huraganem; czujesz, że nie przeważy nad nim szatan. Każ sobie grać tę muzykę, a będziesz podwójnie poetą.

L. do Reeve'a. 1833.

F r e i s c h ü t z Webera jest w muzyce tem — czem F a u s t Goethego (w poezyi).

L. do Reeve'a. 1833.

Jestem przekonany, że muzyka najwyższą jest mową ludzkości, łączącą nas z zaświeciem duchów, wyrażającą wszystkie uczucia, na które słów nie mamy, na które przyczyn wynaleźć nie możem. Muzyka, jestto wyjęcie z siebie tego, co najwięcej Bozkiego mamy i postawienie przed sobą. Ztąd pochodzi, że muzyka ze wszystkich ludzkich rzeczy najmniej w przestrzeni, najwięcej w czasie żyje i najbardziej ruchomą jest, chwilową, znikomą! Kiedy wstąpisz na jej fale, uczujesz, jaka różnica zachodzi między światem płynności, a światem miąższości, między ruchem, biegiem, a bryłami, i to co w sercu twojem może śpi dotąd, czekając przebudzenia, wstanie wtedy, jak Afrodyta z wód morskich.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

O SOBIE

Przedwczoraj czytałem przez całą noc bez zmrużenia oka dzieło p. Boissier'a: *„Les retrouverons-nous dans un monde meilleur?* [1]) Wypiłem z niego pociechę i nadzieję, chociaż styl suchy i bez ziarna poezyi. Gdy skończę powieść, która mię teraz pochłania, napiszę po polsku dzieło podobne, tylko z całym czarem wyobraźni i poezyi, na jakie się zdobędzie mój słaby duch.

L. do Reeve'a. 1830.

Napisałem wczoraj coś, co Roget [2]) uznał za oryginalne. Jest to historya młodzieńca, który jest poetą w głębi duszy, który odczuwa piękno i wzniosłość, ale nie może tego wyrazić w słowach. Wielkim jest w sobie, ale gdy siądzie do pisania, nie może zbudować ani jednego zdania. To część pierwsza. W drugiej kocha się w młodej i entuzyastycznej dziewczynie, która wierzy w poezyę jego spojrzeń, jego rysów; gdy się przekonywa, że nie umie

[1]) „Czy ich zobaczymy na lepszym świecie?"

[2]) Franciszek Roget (1797—1858) profesor literatury i historyi na uniwersytecie genewskim. Krasiński był jego uczniem.

on nic wyrazić, porzuca go. Młodzieniec wpada w apatyę rozpaczy. W trzeciej części ojczyzna go powołuje. Pędzi w bój, ale podkopany cierpieniem nie może bić wrogów. Wpada w chorobę. Niosą go do namiotu, gdzie umiera — nie mocen przez całe życie wypowiedzieć się ani w słowach, ani w czynie. Czuje się on słońcem, które otaczają wiekuiste chmury. Kończy się moja rzecz słowami: „Nie był to wielki człowiek, ale była to wielka dusza. Widzę ją teraz pijącą dużymi haustami czaszę nieśmiertelności. Światy krążą wokół jego duszy — w oddali widzi ona i tę ziemię, która go zapoznała, widzi ją, jak atom pyłu, niegodny jej myśli. Wszystkie swoje bogactwa uniosła z sobą w zaświaty, bo tutaj na ziemi nie mogła ich spotrzebować. I jeśli minął go wieniec poety, jeśli minęły go usta kochanki i sława wojownika — nie minie go Bóg".

L. do Reeve'a. 1830.

Mój Adam[1]) nie jest amatorem, drogi przyjacielu, chcę by był *a true bedlamite*[2]). Hańba, podług mnie, jest nie tylko zaprzeczeniem sławy; trzeba do tego zaprzeczenia dodać jeszcze coś (biernego lub czynnego) co jest skutkiem dyshonoru: bo sława, to skrzydło Archanioła, który rzuca światło nad powierzchnią, zwykłą życia; hańba stoi pod tą powierzchnią bezpióra, szkaradna, szkielet szatański.

---

[1]) *„Adam le fou".*

[2]) Prawdziwym szaleńcem.

Po za tem, pojmujesz, że Adam to nie ja. Moje ja było tylko punktem wyjścia; moją rzeczywistość wyciągnąłem do jej krańców. Jak Mitrydates młody jeszcze i nie mający się czego bać, przyzwyczajał się już do trucizny, bo przewidywał, że w przyszłości targnie się na swe życie. Poezya, wyobraźnia, fikcye idą do celu nie zatrzymując się na pośrednich konsekwencyach. Rozumowanie to i rozsądek wspinają się po równych schodach. Dlatego może zdyszane dochodzą do góry i znajdują tam — co? Nic, albo mało.

L. do Reeve'a. 1831.

Piszę ciągle mój poemat polski [1]). Są w nim pożary i walki, radości i rozkosze. Pozostawałem w tym poemacie pod wpływem czasów, w których żyłem. Atoli akcya toczy się w tych czasach, kiedy olbrzymie państwo rosyjskie od Bałtyku do morza Kaspijskiego rozsypywało się pod żelazną rękawicą wojowników polskich. Ten ci to kraj wówczas szedł ku zgonowi, a zwycięzcy pędzili po jego gruzach z chciwością i odwagą Hiszpanów Korteza w Meksyku. Można więc stworzyć świetne obrazy tych dni tryumfu i żałoby, tych nocy pożarów i rozpusty. Ze starannością maluję przedewszystkiem postać fantastyczną, prawie dziecko, przyszłe ze Wschodu, palone od namiętności; później uczucie niezależności

---

[1]) „Agay-han".

i awanturnicze wydarzenia wodza pewnego Kozaków, który na kruchem czółnie, puszczonem na Dniestrze płynie po przez Morze Czarne palić mury Konstantynopola — a Sułtan wściekły gryzie zębami swój bursztyn, widząc z okien Seraju dymy i płomienie; później wzburzenie Rosyi, zagony polskich wodzów, zapędzających się aż po Azyę i pustoszących ten świat klejnotów, kwiatów i światła, ludy muzułmańskie pomieszane z ludami chrześciańskimi. Nasze to średniowiecze ten wiek. Wszystko tu bohaterskie i wyryte z energii. W tych Polakach, przebiegających na koniu Rosyę od jednego morza do drugiego odnajdziesz łacno gigantyczny szał, wiarę w samego siebie i uczucie siły indywidualnej barbarzyńców, którzy runęli na Rzym i wzięli Rzym pod nogi. Tak Moskwa pod stopy moich naddziadów. Ah! naddziadowie moi byli wielcy i wierzyli w Maryę Pannę. Z Jej imieniem bili szeroką szablą w twarz wroga, wróg padał i nie wstawał. Dawna Polska miała dni chwały przeolbrzymiej i prześwietnej; mało który z narodów tyle uczynił i tyle zwyciężył. Dla nas przeszłość jest niebem czystem, szerokiem, roziskrzonem. Odwrócić nas ku niej, to odwrócić nas ku sławie.....

L. do Reeve'a. 1831.

Podczas tego lata napisałem dramat, traktujący o sprawach dzisiejszych świata, o zasadzie arystokratyzmu i ludowości. Bohaterem jest hrabia i poeta

równocześnie; postawiłem mu w przeciwstawienie przywódcę ludowego, człowieka genialnego, który wyszedł z mroków i nadciąga z milionem szewców, chłopów. Wprowadziłem sceny spazmatyczne na ruinach rozwalonych katedr, pieśni szału, chóry żydów wychrzczonych, saint-simonistów, kobiety wolne, proroków przyszłości, wyzwolonych sługusów, rzeźników obojętnych na wszystko poza namiętnością do krwi, kluby morderców. Pośrodku tego wszystkiego postawiłem wodza, świadomego swego dzieła i wyznawców, nieświadomych niczego, pociągniętych przez zapał. Później narysowałem figurę hrabiego-poety, idącego bronić współbraci w ostatniej schronie, w zamczysku gotyckim. Jest to egoista, jako poeta, mężny, jako szlachcic i jako poeta, jest w nim uczucie uczucia; czuje jakim powiniem być dobry mąż, a pozwala żonie ginąć w obłąkaniu i boleści; czuje jakim powinien być dobry ojciec, a syn jego odziedziczył po matce skłonność do obłędu; oślepł i wieszczy bliskie unicestwienie swojej kasty. Hrabia Henryk jest ambitny; pochlebia mu, że jest wodzem tylu baronów i książąt zebranych na zgon. Z podziemi zamku rozlegają się groźne głosy, to grożą dawne ofiary feudalizmu: niceś nie kochał, nic nie wielbił, oprócz siebie, na tobie umrze pycha twojej rasy i dlatego po kilku dniach chwały zginiesz na tej samej skale boleści, gdzie i myśmy ginęli z rąk twoich ojców. Wyzbyj się nadziei i w ziemię i niebo. Ale on w ogniu boju nie chce się poddać, drwi

z braci baronów i hrabiów, którzy chcą traktować; przywołuje Chrystusa i Maryę. Choć czuje piętno przekleństwa wiekuistego na swem czole, ale widzisz, jest to poeta chrześciański. Nadchodzi ostatni szturm; każe sobie przyprowadzić swego biednego syna na wały; mówi doń: „niegdyś czoło twojej matki było tak samo słodkie, tak samo blade, jak twoje"; potem dodaje: „Czy ty aby wiesz synu, na jak długo się rozłączamy. Niezadługo otoczony chórem aniołów nie zechcesz cisnąć ani jednej kropli rosy na twego ojca, pożeranego przez płomienie. Żegnaj mi Jerzy, żegnaj".

Kula trafia w Jerzego — i on pada. Hrabia zrywa się i woła: „synowie wolności — precz, przepadnijcie w otchłaniach". Idzie walczyć po raz ostatni, a gdy baronowie i hrabiowie pytają go, dokąd ich wiedzie — „na śmierć" — odpowiada. I każe im uderzyć na lud, który się wspina. Gdy zamek już jest wzięty, rzuca się z murów i jego ostatnie słowa są: „ha, już się wdarli na wieżę — i patrzą, czy gdzie nie odkryją hrabiego Henryka. Jestem tu, jestem, ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę, — ja stąpam ku sądowi Boga. (Zbliża się do skraja przepaści). Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją bez brzegów, bez wysp, bez końca, a pośrodku jej Bóg — jak słońce co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca (krokiem dalej się posuwa). Biegną, zobaczyli mnie, Je-

zus, Marya — Poezyo! bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały". Skacze w przepaść.

Zwycięstwo jest przy ludzie. Ci, którzy ufali w jego litość, skazani zostali na śmierć. Wódz w towarzystwie proroka entuzyasty kroczy po murach i przypadkiem natrafia na miejsce, gdzie leży szabla i kokarda hrabiego, które porzucił skacząc.

L e o n a r d (prorok, entuzyasta, młodzieniec)

Bledniesz mistrzu.

P a n k r a c y (wódz)

Czy widzisz tam wysoko, wysoko?

L e o n a r d.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca.

P a n k r a c y.

Znak straszny pali się na niej.

L e o n a r d.

Oprzej się na mnie — bledniesz coraz bardziej.

P a n k r a c y.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

L e o n a r d.

Słyszysz ich krzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie. Odwróć oczy od tej skały, twoje oczy mrą, przywarte do jej wierzchołka.

Pankracy.

Trzy gwoździe, trzy gwiazdy rozjaśnily się pobocz Niego; jego ręce jak dwie błyskawice.

Leonard.

Kto? Gdzie? Zbierz siły.

Pankracy.

Galilee, vicisti! (umiera).

Zobaczył krzyż — i dzieło swe uznał za błąd. Zwyciężony został w chwili swego zwycięstwa; jego gmach zburzony, umiera, powtarzając słowa Juliana Apostaty.

L. do Reeve'a. 1833.

Trwam w wolnej pracy nad moim poematem o *Irydyonie, synu Amphilocha*. Chrześcijaństwo, Północ i Imperyum Rzymskie, które się tu zlewają, dają mi wiele trudności. Ale idzie jakoś — pójdzie. Nasz to wiek dostarczył mi wyobrażeń o zepsuciu i ucisku. Bohater mój ma coś z Hamleta, tylko że cele jego są szersze i wymagające geniuszu bardziej praktycznego. Losem jego jest zginąć, bo przyszedł za wczas, a w swoim dniu zapragnął ziścić przeczucie wieków przyszłych. Ale niechże cała chwała ziemska nie spada li tylko na tych, którym dane było zwyciężyć i spełnić czyn; niechże choć iskierka padnie na czoła i tych, którzy pragnęli wielkości i do-

bra, a pozbawieni ludzi i rzeczy, mogli być zaledwie głosem, wołającym na puszczy.

L. do Reeve'a. 1835.

Doszedłem prawie do końca *Irydyona, syna Amfilocha.* Trzy razy targany, dziesięć razy przerywany bądź z powodu mojej choroby, bądź z powodu moich namiętności, od trzech lat nie przestaje on torturować mego mózgu i rośnie w stopniowych porodach. Nareszcie z chaosu Rzymian, barbarzyńców i pierwotnych chrześcian, wynurzyłem myśl, która mi leżała na sercu; myśl tę wcieliłem w człowieka, w Greka, który w dni potęgi i zepsucia Cezarów szuka pomsty przeciw Rzymowi, zdrajcy Aten i tłumicielowi Koryntu. Sam jest; jego ojciec umarł, jemu przekazując nienawiść do Imperyum. Jego matka, kapłanka Odyna, pochwycona niegdyś na Chersonesie Cymbrów, otruła się, gdy był jeszcze dzieckiem. Pozostała mu tylko jedyna siostra. Oddaje ją Heliogobalowi, by niepokoiła jego umysł coraz bardziej, aż zobłędnieje. Od tej chwili ma Cezara w ręku. Zostaje prefektem jego pretoryanów. Wówczas przekonywa cezara, że dla własnego bezpieczeństwa powinien konspirować przeciw Rzymowi, wiecznemu miastu. Pobożnym Eneasem mego Turnusa jest Alexander Severus, syn chrześcianki, Mamaei. Jeden i drugi konspirują równocześnie. Ale Alexander chce detronizować Cezara, by wrócić siłę cesarstwu, podczas gdy Irydion chce jednym zamachem obalić

Rzym za pomocą wszystkiego, co ma w swem ręku, za pomocą Cezara, pretoryan, chrześcian, barbarzyńców. Jego potężna i oszałamiająca myśl pędzona jest, jak wichrem, rozpaczą i nienawiścią przeciwko wszystkiemu, co rzymskie, musi więc maskować się dzień i noc. Niewolnicy i gladyatorowie są na jego żołdzie. Odszukał dwóch starożytnych patrycyuszów, zmuszonych przez zubożenie do występowania w cyrku, i im przekazał swoją zemstę. Scipion i Warres, obaj odziani w łachmany z uśmiechem przyjęli myśl zasztyletowania Romy, niegdyś macierzy, dziś ich macochy.

Pośrodku tych postaci i tych wszystkich namiętności wznosi się spokojne oblicze starca afrykanina, Massynissy. Jego majestat gorzki, jak każde jego słowo. Czasem się wydaje, że żyje on już od wieków i że nigdy nie umrze. Jego pierś płonie, sarkazm i duma wynurzają się z niej jakby na falach ciemności. On to jest jedynym powiernikiem konspiratora. On go ćwiczył jak cierpieć w milczeniu, powtarzając, że jest Rzym inny po za grobem i że z Rzymem trzeba walczyć wiekuiście. Potem namawia go, by skusił i uzbroił katakomby. W katakombach jest dziewica chrześcijanka, fanatyczna i czysta, która rozkochała się w nim do szaleństwa. Nie mogąc grzeszyć buntem przeciw Chrystusowi, pada zemdlona do nóg Irydyonowi, a po przyjściu do zmysłów bierze go za Chrystusa, który przyszedł zatwierdzić swoje *millenium*. Do tej chwili wszystko układa się

bohaterowi mych kart w nadzieję zwycięstwa; ale w naznaczony dzień, w chwili gdy okiem Katyliny tryumfującego patrzy ponuro na miasto, przeznaczone przezeń dla bogów piekielnych, w chwili, gdy ma podnieść rękę, by zapalono stos, co będzie sygnałem podpalenia Rzymu, w chwili tej chrześcianie go zawiedli; uzbrojeni już się wynurzali z czeluści katakomb, gdy zatrzymał ich biskup rzymski piorunowem przekleństwem. Wtedy on, który już przyjął był chrzest, wraca na nowo do bogów matki swej, do nieprzejednanego Odyna. Heliogobal i boska Elsinoe, siostra nieszczęśliwca — giną. Następuje krwawa bitwa, beznadziejna z Alexandrem Severem. Gdy już wszystko stracone, gdy żaden dziryt, żaden miecz nie mógł go dosięgnąć, ucieka daleko, jak Orestes nad brzeg morza. Tam go oczekuje Massynissa, by odebrać odeń duszę. Zwyciężony pojmuje dopiero o tej minucie, że nie był niczem innem, jak tylko proroczą ideą upadku Rzymu. Tylko ideą. Wtedy oddaje swą duszę księciu ciemności, ale za pewną cenę. Oto chce raz chociaż jeden przyjrzeć się znienawidzonemu Rzymowi, gdy Rzym będzie w błocie i we wstydzie. Massynissa przyrzeka i układa go do śnięcia w pieczarze gór Latium. Dzień, w którym Irydyon się obudzi, to nie dzień Alaryka i Atylli — to noc pewna w roku 1835, gdy po panowaniu materyi i mózgu nie zostaje nic z dawnego Rzymu, oprócz ruin i zgrzybiałej teologii.

Wstęp jest ułożony w formie poematu, reszta — dramat. Epilog, obudzenie — będzie balladą.

L. do Reeve'a. 1835.

Pragnąłbym teraz zmartwychpostawić doktora Procidę. Dwaj ludzie go galwanizowali miernie: Delavigne i Nicolini. Kilka muskułów wielkiego człowieka drgnęło, zresztą nie wyszedł ten człowiek ze stanu swego snu wiecznego. Należy mu dać życie, postawić go na nogi. Wyobraź sobie tego Fausta politycznego, który był przyjacielem Fryderyka II.[1]), który był przyjacielem nieustraszonego Manfreda, tego człowieka, wychowanego w nienawiści do papieży, w nauce natury; człowieka, który żył pod niebem Sycylii, wśród Saracenów, który w wieku młodzieńczym powziął myśl Nieszporów Sycylijskich i wykonał ją mocą swojej wiedzy, gieniuszu, potęgi moralnej, władzy nad ludźmi, zdobytej rozległością swojej sławy naukowej i politycznej wielkiego lekarza, wielkiego przyrodnika i wielkiego obywatela. — W nim znajdziesz wszystko, czego możesz pragnąć dla poezyi, ideę uniwersalną, przyrodę i ideę indywidualną, ojczyznę! Wywołuję cię, wielki i rozległy myślicielu, ciebie, ostatni przyjacielu Hohenstauffenów, ciebie, któryś ich widział ginących przez fatalność losu i nikczemność ludzi, ciebie, któremu trup nieszczęsnego Konradina wyrwał pragnienie zemsty

---

[1]) Fryderyk Hohenstaufen.

i wolności! Wywołuję także i ciebie, Karolu Andegaweński, bracie świętego, hrabio Prowansalii i Uzurpatorze Neapolu; ciebie, typie Ludwika XI., ciebie, rycerzu bez wiary, królu bez prawa, człowieku bez religii, ciebie przesądnego i okrutnego, jak kobieta, przezornego i chciwego, jak stary ksiądz. — A następnie, w oddali na parnym horyzoncie Włoch zamajaczycie mi i wy, cienie smutne, szlachetne widma, którzyście wypełnili świat szumem waszych mieczów i pogłosem waszych niewymownych nieszczęść. Ciebie, piękny Enzio, któryś się zwarzył w Bolognii! i ciebie, Manfredzie, sułtanie Nurry, błyskawico Kalabryi! i ciebie, biedne dziecko, i ciebie, wielki człowieku, ciebie, Fryderyku, ojcze tamtych, którego jedyną słabością było, żeś zanadto ukochał piękno. Jeżeli z was wszystkich nie zrobię pieśni pogrzebnej i mścicielskiej, niechaj czarty łamią moją lirę.

L. do Reeve'a. 1836.

Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta.
Gdybym ją posiadł, świat ubrałbym w czary,
A że jej nie mam, jestem wierszokleta.

Ah! w sercu mojem są niebiańskie dźwięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje,
Ludzie usłyszą tylko twarde szczęki,
Ja, dniem i nocą, słyszę serce moje!

Ono tak bije na krwi mojej falach,
Jak gwiazda brzmiąca na wirach błękitu
Ludzie nie słyszą jej w godowych salach
Choć ją Bóg słyszy od zmroku do świtu.
etc. etc. etc. *1836.*

Spytaj się Ulrycha, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią znikły nieszczęśliwie na ziemi, których głowa pałała jednem tylko dzikiem marzeniem, a których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci. Zstąpili oni do grobu hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem, błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów, słowem, całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi. Polityka mało o nich lub nic nie powie, historya więcej, poezya najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohatyrowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwycięstwem, bezsławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohatyrskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej massy jest Irydion. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się zżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać, krótkie albowiem dni jego; Duch może myśleć, modlić się, kochać, bo ma wieki przed sobą. Ciało, gdy raz padnie, nie powstanie więcej; Duch, z serc, co pękły, przelewa się w serca, co biją i kończy zaczętą drogę. Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie zmysłowej, młodzieńczej, bohatyrskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie co począć, śmiech szatana nad tem wszystkiem się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończonemi, ogień i żelazo słabemi są na doprowadzenia ich do końca. W drugiej, ostatniej części chrześcijańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko, co złe, darowane być musi za to, co było dobrego i przestroga, nauka, by Duchem działać, by z pracy wieków zmartwychstawać. Cóż to jest praca wieków? To jest praca Ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest, to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyi i rzezi, jedno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność, doprowadziły autora do tego końca, choć sam się

przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej; wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo, co jest, to jest, nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum Boży. Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezyą, koniecznością, ogółem.

Autor „Irydyona" dwie części miał w tem wszystkiem na myśli: 1. Zemstę, ciało i konwulsye, co zwykle miotają światem, i tylu umarłych zawcześnie, pięknych, dzielnych, niepamiętanych. 2. Ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześcijański, idealny, którym wszystko, co jest, i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza Ducha, by potem wcielić w świat tegoż Ducha; rozum Boży przeciwpostawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijanym. Ztąd pochodzi, że za czyściec, za powtórną próbę, każe głos słyszany w Kolizeum, iść Irydyonowi do ziemi mogił i krzyżów, i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich; nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na dobre i w nagrodę takiej pracy, (okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje), obiecuje mu zmartwychwstanie i to jeszcze na ziemi. Chrześciaństwo nie inaczej owładnęło światem. Spodziewam się, że teraz Leon mnie pojmie.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

Masynissa jestto pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami na jutro; jestto to nic, to zero niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono otacza nas tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jestto, słowem, szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe.

L. do Gaszyńskiego. 1837.

SYMPOSION · POD · REDAKCYA · LEOPOLDA · STAFFA

atrzył Adam
cki, 1912.

hrabia